CENA ZŁ 20 **W numerze: Zbyszko Bednorz, Jarosław Rogala, Krystyna Wryczan, Tadeusz Zelenay**

SOPOT
ul. Czerwonej Armii 0
Wyższa Szkoła Handlu Morskiego Biblioteka
opł. rycz.
BIBLIOTEKA * POMOCE NAUKOWE * WYŻSZA SZKOŁA HANDLU MORSKIEGO * GDYNIA

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW KATOWICE

NUMER 6 (168) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 27 LUTEGO 1949 ROKU ROK V

EDMUND OSMAŃCZYK

FRAGMENT ROZDZIAŁU: „MNIEJSZOŚCI NARODOWE W NIEMCZECH OKUPOWANYCH" Z PRZYGOTOWANEGO DO DRUKU „LEKSYKONU SPRAW NIEMIECKICH".

SERBO-ŁUŻYCZANIE

a) Historia

Na obszarze między Kwisą a Łabą przed 1000 laty żył naród Serbów Łużyckich, który miał trzy okresy wolności w słowiańskiej wspólnocie. Pierwszy przed r. 963, a więc przed Geronową katastrofą, okres drugi pod panowaniem Bolesława Chrobrego, trzeci wreszcie w obrębie korony czeskiej w latach 1320—1635.

Okres bezwzględnej niewoli objął równe lat trzystadziesięć i zwiększany był nierozłącznie z historią rozwoju potęgi i upadku Prus (1640—1945).

W połowie XIX w. wraz z wiosną ludów rozpoczyna się na Łużycach budzenie poczucia odrębności narodowej. Ruch odrodzeńczy czeski promieniuje na Łużyce, a dużą rolę odgrywa również przykład walk niepodległościowych Polaków. Powstaje literatura łużycka, szukająca sobie wzorów wśród najbliższych językowo pisarzy polskich i czeskich. Najwybitniejszym umysłem serbołużyckim owego czasu był znany w świecie uczony slawista, prof. Arnoszt Muka. Po I wojnie światowej Łużyczanie wskrzeszają swą organizację Domowiny i Macicy Serbskiej i wraz z Polakami, Duńczykami, Litwinami i Fryzami tworzą Związek Mniejszości Narodowych w Niemczech. W r. 1936 wszystkie organizacje łużyckie zostały przez Hitlera rozwiązane, a działacze uwięzieni. Wielu z nich nie doczekało się klęski Prus. Między innymi zginął przywódca Serbów Łużyckich, wybitny pisarz i polityk, Jan Skala.

W r. 1945 ziemie łużyckie zostały wyzwolone przez Armię Czerwoną i współwalczącą z nią Drugą Armię Polską pod dowództwem gen. Waltera-Świerczewskiego. Życie łużyckie rozpoczęło organizować się na nowo. Z dwóch koncepcji, które zarysowały się wówczas w narodzie serbo-łużyckim, po dwu latach tarć wewnętrznych zwyciężyła ostatecznie koncepcja ludzi, kierujących przed wojną i po wojnie „Domowiną". Upraszczając, powiedzieć można, iż „Rada Narodowa", nie licząc się z realiami politycznymi, dążyła do oderwania Łużyc od państwa niemieckiego, czyli do niepodległości państwowej, natomiast „Domowina" trafnie oceniwszy swoje siły i możliwości realno-polityczne dążyła do stworzenia jak najszerszej autonomii narodu, czyli do niepodległości narodowej. Przemiany społeczne w Niemczech Wschodnich spowodowały, że zagadnienie stosunku Niemców do narodu serbo-łużyckiego stało się papierkiem lakmusowym dla badania nacjonalizmu niemieckiego. Realizm, roztropność i uświadomienie społeczne Serbo-Łużyczan (w wiekszości olbrzymiej proletariat robotniczy, bezrolny i małorolny) przyczyniły się w dużej mierze do odbudowy życia narodowo-społecznego Łużyczan na nowych podstawach, w ramach tych możliwości, jakie wytworzyły się w Niemczech Wschodnich po drugiej wojnie światowej. —

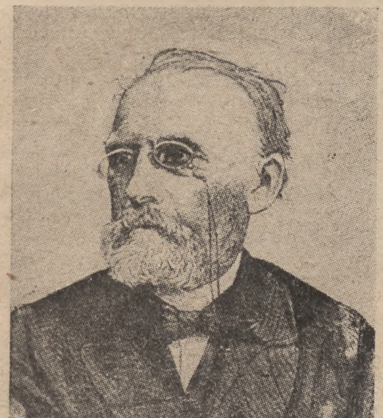
DZIAŁACZ NARODOWY:
Jan Arnoszt Smoler (1816—1884)

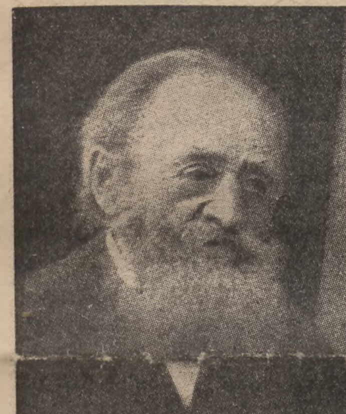
TŁUMACZ:
Maciej Urban (1846—1931)

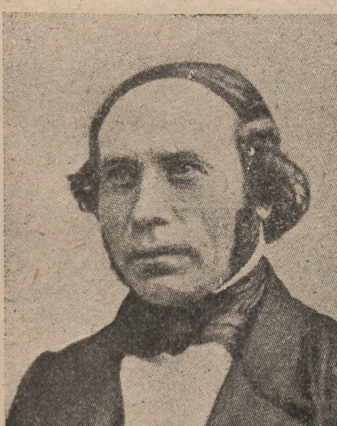
KOMPOZYTOR:
Karel August Kocor (1822—1904)

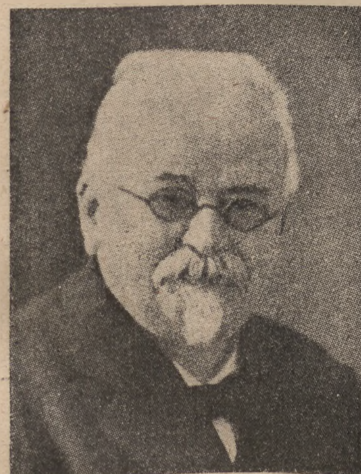
UCZONY:
Arnoszt Muka (1854—1932)

DZIAŁACZ ROBOTNICZY I POETA:
Jan Skala (1889—1945)

b) Obszar i ludność

Nazwa Łużyce brzmi po niemiecku „Lausitz". Łużyczanie po niemiecku nazywają siebie sami „Lausitzer Sorben", Niemcy natomiast stosują najczęściej nazwę „Wenden", rzadziej nazwę „Sorben". W r. 1936 nazwa „Wenden" stała się obowiązująca w Niemczech, a Łużyczanie uznani zostali przez Hitlera, jako „nowo-niemiecki szczep" („neu-deutscher Stamm").

Łużyce nie posiadają już dziś formy jednolitej jednostki administracyjnej. Wyraz Łużyce używany jest raczej w sensie tradycyjnej nazwy geograficznej dla terenu, gdzie zamieszkują Serbo-Łużyczanie. Do niedawna jednak Łużyce posiadały swój odrębny statut regionalny (Markgrafschaft der Ober- u. Niederlausitz). Dzięki temu nazwa i pojęcie utrzymały się wśród ludności i w literaturze naukowej. Swój odrębny statut regionalny (Verfassung der Provinzialstände des Markgrafentums der Ober- u. Niederlausitz) Łużyce Górne posiadały do roku 1835 (w Saksonii), w formie zmienionej do r. 1920; natomiast Prusy zniosły owe prawo w swej części (Łużyce Dolne oraz część Łużyc Górnych) zaraz po aneksji części Saksonii w r. 1815. Statut regionalny nie odnosił się jednak do ludności serbo-łużyckiej i dla niej nie miał żadnych konsekwencji prawnych, politycznych czy administracyjnych. Statut gwarantował jedynie przywileje stanów oraz instytucji niemieckich.

Do Łużyc obecnie zaliczamy:

a) jako Łużyce Górne: powiaty 1. budziszyński (Kreis Bautzen), 2. kamieński (Kamenz) 3. lubijski (Löbau). niszczański (Niesky). 5. wojerowski (Hoyerswerda), 6. żytawski (Zittou), 7. miasto Zgorzelec (Görlitz).

b) jako Łużyce Dolne: powiaty 8. chociebużski (Cottbus), 9. gubiński (Guben), 10. grodzki (Spremberg), 11. kalawski (Kalau), 12. łukowski (Luckau). 13. lubiński (Lübben) oraz miasta nie podlegające administracji powiatowej: 14. Chociebuż — miasto. 15. Gubin — miasto, 16. Borść (Forst) — miasto.

Powiaty górno-łużyckie znajdują się pod administracją kraju saksońskiego (Landesregierung Sachsen in Dresden). powiaty dolno-łużyckie pod administracją brandenburską (Landesregierung Brandenburg in Potsdam).

Granice Łużyc historycznych biegły następująco: na południe wzdłuż gór łużyckich (lub czeskich) na wschodzie wzdłuż linii Kwisa — Bóbr — Odra aż na północ od ujścia Nisy łużyckiej (z wyjątkiem księstwa Żegańskiego) i na północy wzdłuż linii: Żelm (Baruth) — Szprewa — Odra: na zachodzie wzdłuż linii: Łuków (Luckau) — Dobrilugk — Rolany (Ruhland) — rzeki Połcznica (Pulsnitz).

Granica Łużyc Dolnych z Górnymi biegnie wzdłuż linii: rzeka Czarny Halsztrow (Schwarze Elster) — nieco na południe od Złokomorowa — i Grodka (Spremberg) — na północ od Mużakowa (Muskau).

Łużyce według oficjalnej niemieckiej statystyki (DWK Statistisches Zentral-Amt: Volks- und Berufszählung vom 29 Oktober 1946 in der sowjetischen Besatzungszone Deutschlands Band I: Amtliches Gemeindeverzeichnis) obejmują obecnie obszar 8.509 km kw. z ludnością 1.211.034 mieszkańców w 957 gminach z tego 15 gmin powyżej 10.000 mieszkańców. Szczegółowe dane o obszarze i ludności Łużyc zawiera poniższa tabela w/g cyt. wyż. statystyki DWK:

Powiat:	obszar w km kw	liczba mieszk.	liczba gmin	gminy powyżej 10 000 mieszk.	
Bautzen (Budziszyn)	827 83	165 767	120	2	49 359
Hoyerswerda (Wojerec)	869,83	65 667	77	—	—
Kamenz (Kamieńc)	689,85	88 996	109	1	13 862
Löbau (Lubij)	531 66	129 318	75	3	39 202
Niesky (Niska)	1231,80	115 797	128	1	12 940
Zittau (Żitawa)	287,—	119 545	31	1	45 084
Görlitz-Stadt (Zgorzelec)	15,26	85 686	1	1	85 686
Łużyce Górne razem:	4453 29	771 376	541	9	246 133
Calau (Kalawa)	989 33	130 548	130	2	29 678
Cottbus (Chociebuż)	918 85	76 343	108	—	—
Guben (Gubin)	603,69	35 192	51	—	—
Lübben (Lubin)	1040,44	43 396	79	—	—
Spremberg (Grodk)	422 88	49 422	45	1	17 498
Cottbus-Stadt	30 20	49 131	1	1	49 131
Forst-Stadt (Borść)	41 27	29 829	1	1	29 829
Guben-Stadt (Gubin)	9,72	25 297	1	1	25 297
Łużyce Dolne razem:	4055 88	439 658	416	6	151 433
Łużyce całe:	8509 17	1211 034	957	15	397 566

Liczby ludności serbo-łużyckiej statystyka niemiecka z r. 1946 nie podaje.

W r. 1939 na tym samym obszarze żyło 998.000 mieszkańców. Cyfry powiatu łukowskiego (Luckau/Łuż. Dolne) nie podano w zestawieniu powyższym, gdyż nie zalicza się on do terenu etnograficznego Serbo-Łużyczan.

W języku własnym Łużyczanie nazywają się „Serbja" (-plur.; sing.; „Serb"). Język łużycki tworzy wraz z językiem polskim oraz z językami zaginionymi połabskimi i pomorskim grupę lechicką języków słowiańskich. Jest bliższy językowi polskiemu niż czeskiemu, choć często się słyszy mylne zdanie, iż jest odwrotnie. Zbliża go jedynie do czeskiego zmiana zach.-słowiańskiego „g" na „h" w górno-łuż. oraz akcentowania nad c, r, s, z, zamiast cz, rz, sz, ż. Język dolnołużycki różni się nieco od górnołużyckiego.

O ilości Serbo-Łużyczan dotychczas nie ma obiektywnych danych statystycznych. Niemieckie statystyki urzędowe z czasów przedwojennych uznane zostały za wysoce tendencyjne. Rezultaty spisu ludności w dniu 29. X. 1946 r. odnośnie narodowości nie zostały dotąd ogłoszone. Niemiecka statystyka oficjalna podawała liczbę Serbo-Łużyczan, w wyniku spisów ludności, jak następuje:

1910 — 96.000
1925 — 72.000
1934 — 57.000

Liczba z roku 1934 była ostatnią cyfrą oficjalną. W późniejszych latach Niemcy już nie publikowali liczby Serbo-Łużyczan. „Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich" 1933/34 (str. 23, nr 13) podaje dane następujące:

„Język ojczysty względnie przynależność językowa ludności w niektórych terenach (Muttersprache bezw. sprachliche Zugehörigkeit der Bevölkerung in einigen Gebieten):

Lausitz insgesamt: 844.724
deutsch: 785.321
deutsch u. wendisch: 33.203
wendisch: 23.964
sonstige: 2.236

(Anmerkung! Kreise: Calau, Cottbus (Landkreis), Cottbus (Stadtkreis), Luckau, Lübben, Spremberg, Hoyerswerda, Rothenburg, Amtshaptmannschaften: Bautzen, Kamenz, Löbau, Stadt Bautzen.)

Inne publikacje niemieckie odbiegały jednak od cyfry oficjalnej statystyki, tak np. Brockhaus (1938) podaje 62.000, a także Meyer.

Łużyczanie w swych badaniach statystycznych dziś jeszcze opierają się na statystyce dr Muki. Choć jego cyfry — zbierane w latach 1880/84 z rezultatem 185.000 Serbo-Łużyczan — mogą być już nieaktualne, to jednak dr Muka był tym, który wyznaczył teren etnograficzny Łużyczan, będący do dziś podstawą prac Domowiny.

W r. 1945 na użytek własny Domowina przeprowadziła spis Serbo-Łużyczan w niektórych częściach Łużyc Górnych. Spis przeprowadzono w miesiącach czerwiec—grudzień 1945 r. w trudnych stosunkach powojennych i bez wystarczającego aparatu technicznego. Toteż spisu tego nie można było przeprowadzić na całym obszarze Łużyc. Spis przeprowadzały grupy miejscowe Domowiny, i tylko w tych miejscowościach, gdzie istniały takie grupy. Wówczas objęło to tylko 3 powiaty górno-łużyckie (budziszyński, kamieński i lubijski).

Rezultat spisu Domowiny był następujący:

Powiat	wniosek: Ogółem	wniosek: przeliczonych	mieszkańcy: przeliczeni	mieszkańcy: Łużyczanie	ludność: ogółem 29. X. 46	ludność: cały pow. 29. X. 46
	a	b	c	d	w wiosk. przelicz.	f
Kamienc:	**109**	**35**	**6.902**	**6.332**	**8.781**	**88.996**
Budziszyn:	**120**	**78**	**38.208**	**29.201**	**47.283**	**165.767**
Lubij:	**75**	**18**	**4.297**	**4.141**	**7.394**	**129.918**
Razem:	**304**	**131**	**49.407**	**39.674**	**63.458**	**384.681**

OBJAŚNIENIA:

Kolumna a) podaje ilość wiosek całego powiatu według wyżej cyt. publikacji oficjalnej DWK.

Kolumna b) podaje ilość wiosek, w których miejscowe grupy Domowiny przeprowadziły spis Serbo-Łużyczan. Nastąpiło to w tak zw. „czysto łużyckich" wioskach, gdzie wówczas już istniały „skupiny Domowiny". Na terenie gdzie przeważa element niemiecki spisu nie robiono. Element łużycki zwarcie zamieszkuje obszar rolniczy z małymi wioskami, element niemiecki natomiast zajmuje teren bardziej uprzemysłowiony z dużymi miejscowościami (porównaj kol. a) oraz e) w stosunku do kol. b) i f) i ich dyferencję). Oczywiście, że i w tzw. „stronach niemieckich" zamieszkuje spora liczba Łużyczan.

W kolumnie c) liczono wyłącznie ludność tubylczą (osiadłą) niemiecką i łużycką. Natomiast nie liczono reemigrantów niemieckich, którzy stanowią około 20 do 30% we wioskach łużyckich. Stąd różnica między cyframi w kolumnach c) i e).

Kolumna d) podaje liczbę Serbo-Łużyczan władających językiem łużyckim (wraz z dziećmi szkolnymi, gdzie to kryterium nie zawsze istniało, podobnie jak i u części młodzieży pozaszkolnej).

Kolumna e) podaje ogólną liczbę mieszkańców w/g spisu ludności z dnia 29. X. 46. Cyfry te obejmują także niemieckich reemigrantów przesiedlonych z Polski, z Czechosłowacji itd. Stąd różnica w porównaniu z kolumną c).

Kolumna f) podaje cyfry ludności ogólnej całego powiatu w/g spisu z dnia 29. X. 46.

Zakładając, że stosunki w innych powiatach łużyckich są takie same jak w trzech powiatach przeliczonych, a niewątpliwie są one tam nawet korzystniejsze, wobec zachowania w innych powiatach bardziej rolniczego charakteru kraju, **możemy przyjąć jako przypuszczalną ogólną liczbę Serbo-Łużyczan 143.700 ludzi.** Oto rachunek:

W 3 powiatach łuż. (budz., kam., lubijski) mieszkańców razem 384.681
(zob. kol. f.)
w 6 miastach tych powiatów z ludn. powyżej 10.000 (gdzie procent S.-Łuż. jest niższy), żyje 102 423
cyfra ludności bez miast pozostaje 282.258
z cyfry 282.258 jest Serbo-Łużyczan w/g spisu Domowiny 39.674
to jest (w przybliżeniu)14 proc.

(Dokończenie na str. 2)

Mina Witkojc, najwybitniejsza współczesna poetka łużycka, która pod koniec ubiegłego roku obchodziła jubileusz swojej twórczości

Z poezji łużyckiej

MINA WITKOJC

Żołnierzom radzieckim na Błótach

Co to jest życie? Tylko krótka chwila!
Gdzie moja młodość odeszła miła?
Jeszcze po pierwszej wojnie dziś w uszach
dźwięczą rosyjskie słowa, a dusza
wzrok śle do ruskich wojsk, co ulicą
o swym powrocie do kraju myśląc
idą ze śpiewem. A wiatr przelotny
pachnie piosenek waszych melodią.
Już ćwierć stulecia dni me kupiły!
Żywot nasz nie trwa dłużej od chwili!

Co to jest dola? Z falą zmaganie.
Wyższe panują siły nad nami
jak wiatr, co wodę marszcząc powiewa,
to znów ją z głębin niesie, przelewa,
do cichych brzegów łódź z czółnem goni,
to znów je rzuca do morskich dłoni,
tak ukazuje wszystkie swe siły . . .
Zorza — gdy nocą się wybiesiły
żywioły — lśni na spokojnym morzu.
Los nasz to trwanie w fali naporze.

Z czasem ścigają się wydarzenia.
Szczęśliw, kto żyje w stałych gwiazd promieniach.
Wojna, najcięższa z wojen — oto
znowu się kończy . . . Wojska ku Błótom
ciągną ze wschodu . . . Jestem tu z wami,
bracia, idący ku nam z piosnkami . . .
Olchy witają was w pokłonie.
Echo piosenki krok wasz goni!
Przeminęło jak wiatr ćwierćwiecze,
z wiatrem czas nasz ludzki w dal leci.

Z dolnołużyckiego spolszczył
WIKTOR STANISŁAWSKI

JURIJ BRIEZAN

Pieśń brygad wiejskich

Służebnicy rodzinnej ziemi,
płodnej gliny i równin piaszczystych,
pracujemy, pracujemy
w ostrym słońcu i w deszczu rzęsistym.

Gdy świt błyśnie, zaraz się granie
zrywa kos naszych w polu szerokim,
zanim mieszczuch z łóżka powstanie
przyjmą plon nasz stodół złote mroki.

Chleb powszedni wyrasta u nas,
i pociesza się chlebem lud,
praca nasza siłą pioruna
zmorę z kraju wyżenie: głód!

Z górnołużyckiego spolszczył
WILHELM SZEWCZYK

Z łużyckiego raptularza

ŻYCIE SŁOWIAŃSKIE

Dnia 11 września 1948 odbyła się w Budziszynie w gmachu tamtejszego Muzeum pierwsza po wojnie wystawa malarstwa i rzeźby, zorganizowana przez nowopowstałe Koło Łużyckich Artystów Plastyków. W wystawie wzięło udział wielu malarzy zarówno górnołużyckich (m. in. Nowak-Njechorński) jak i dolnołużyckich. Rzeźbę reprezentował Zynda-Drjeżdżański. Prócz tego wystawa obejmowała prace architektów łużyckich, oraz dział haftów, ceramiki i lalek. Otwarcie wystawy odbyło się bardzo uroczyście. Charakterystycznym objawem jest, że budzi ona duże zainteresowanie wśród społeczeństwa i władz niemieckich.

Trzej sędziwi działacze łużyccy: b. poseł Arnoszt Bart z Brzezynki, Jan Hajesz z Łazu i kompozytor Bjarnat Krawc zostali mianowani honorowymi członkami organizacji „Domowina" — za usługi położone dla narodu łużyckiego i jego kultury.

Nieliczna już po ostatniej wojnie światowej grupa pisarzy dolnołużyckich poniosła ostatnio dotkliwą stratę. Zmarł bowiem jeden z najstarszych jej przedstawicieli pastor Bogumił Szwjela, znany filolog. Był on synem Kita Szwjeli, zasłużonego działacza i redaktora „Bramborskiego Casnika". Bogumił Szwjela po ukończeniu swych studiów uniwersyteckich zaczął pracować w Chociebużu, skąd został usunięty rychło na skutek swej działalności w Macierzy Łużyckiej, po czym przeniósł się do Wochozów w Łużycy Górnej. Wybitnie zdolny filolog, wydał szereg prac z tego zakresu. Jest on twórcą dolnołużyckiej ortografii brał udział w I zjeździe słowiańskich filologów w Pradze w 1929 r. i w II, który odbył się w Warszawie w r. 1934. Był stałym współpracownikiem prof. Muki i pomagał mu przy pracach nad jego wielkim słownikiem dolnołużyckim. Instytut Zachodni w Poznaniu ma zamiar wydać jego rzecz o nazwach w kraju chociebuskim. Prócz tego był redaktorem czasopism: „Hwiezda", „Serbski Casnik" i kalendarza „Protyki". Dokonał wreszcie szeregu przekładów z języków chorwackiego i słowackiego.

Dnia 7 sierpnia zmarł w Lubiji znany tamtejszy działacz ks. Paweł Szołta. Był on autorem kilku prac archeologicznych.

W tymże samym miesiącu zmarł w szpitalu w Rusowie znany dawny działacz Macierzy Łużyckiej ks. Jan Cyż.

W związku z licznymi wzmiankami w prasie na temat pracy Wilhelma Szewczyka pt. „Portret Łużyczanki"*) pragniemy przypomnieć, że bohaterka tego szkicu, jedyna łużycka poetka Mina Witkojc, obchodziła w tym roku jubileusz 55-lecia swych urodzin. Z tej okazji Stowarzyszenie Kobiet Słowiańskich (Jednota Slovanskych Žen) w Pradze urządziło przyjęcie ku jej czci. Całe życie poetki było jednym pasmem nieustannej walki z niemieckim uciskiem.

Eksredaktorka „Serbskiego Casnika", działaczka społeczna, urodzona rewolucjonistka, buntująca się nieustannie przeciw przemocy, jaką stosowano wobec jej narodu, interweniowała z niezwykłą odwagą wiele razy u władz hitlerowskich w sprawie swych prześladowanych ziomków. Nawet jej ostatnia poetycka praca „Wspomnienia Erfurckie") nie mogła wyjść w oryginale i została ostatecznie wydrukowana w Pradze w r. 1947. Jest to niewielkie dzieło, w którym poetka opisuje lata swego przymusowego pobytu na wygnaniu w Erfurcie. Pod koniec były to ciężkie dni głodu więzienia i wreszcie uwolnienie przez Armię Radziecką. Ostatnio Mina Witkojc przebywa w Czechach, gdzie pracuje nad swą autobiografią w przekładzie czeskim.**

W roku bież. mija czterechsetlecie dokonania przekładu Nowego Testamentu przez Mikławsza Jakubicę na język dolnołużycki. Jest to pierwszy pomnik literatury łużyckiej. Jakubica opracował swą biblię w oparciu o biblię Marcina Lutra i o katolicką Wulgatę pt.: „Nowy Zakon Serpsky do serpsky rzecy przineson". Dziełem tym zajmowali się liczni uczeni, m. in. prof. Muka i znany rosyjski filolog A. N. Szczerba. Rękopis tłumaczenia Jakubicy, znajdował się przed wojną w jednej z bibliotek berlińskich. Czy się uratował — nie wiadomo. hs

*) Wilhelm Szewczyk: Portret Łużyczanki Mina Witkojc. Katowice 1948, Drukarnia Cieszyńska P. Z. P. w Cieszynie, Wydawnictwo Instytutu Śląskiego.

**) „Erfurstke vzpominky". Praha 1947, Slovanský Literární Klub.

NICO ROST

Rys. Zuzanna Wenger

Goethe w Dachau

Więźniowie w książce tej mimo stałej groźby śmierci pozostają przy życiu także i dlatego, że w każdym położeniu walczą o prawo myślenia. Wśród zwałów trupów kontynuują swoje studia, dyskutują, korzystając z pamięci i z uzyskanego potajemnie materiału, także i w czasie bombardowań, w czasie egzekucji, gdy od salw karabinowych załamują się szeregi jeńców radzieckich, w czasie ostatnich decydujących ataków oddziałów alianckich. Więźniowie ci to w większości swej intelektualiści wielu narodów. Są to zatem ludzie, którym Hitler najchętniej zadawał męczeńską śmierć, w nich widząc największe niebezpieczeństwo dla swego systemu. Słusznie zresztą, bo walce ich nie mogła sprostać żadna kula karabinowa, żadna infekcja. Odtrutkę, która hartuje ich wobec śmierci, nazywa Rost witaminą N i P (nauka i przyszłość). Jest to witamina kolektywna, zawierająca substancję chemiczną każdego więźnia, — komunistów i socjaldemokratów, kalwinów i jezuitów. Przygnano ich do Dachau z Holandii i Niemiec, ze Związku Radzieckiego i Francji, z Hiszpanii, dokąd tylko wpadła armia hitlerowska. Jezuita Péguin, żołnierz francuskiego ruchu oporu, umierając zostawił wyznanie, stwierdzające, że umiera za to, za co walczył za życia: „za kościół i klasę robotniczą". Nic dziwnego, że Hitler czynił wszystko, by intelektualistów takich skompromitować i zniszczyć, czy nazywają się oni Goethe czy też Herder, czy są to Wyznania św. Augustyna czy biografia Franciszka z Assyżu, Novalis czy Lessing, Stendhal lub Renan: dyskusje w baraku więziennym wykazują, jak wiele wniósł każdy z nich do budowy wspaniałego gmachu ludzkości. Bo dyskusje te nie są z gatunku pustych przeintelektualizowanych opowieści, których jedynym celem jest zabicie nudy wieczoru. Każda z tych dyskusji to surowy rachunek sumienia świadomego intelektualisty, który każdym swym słowem zobowiązuje się walczyć o życie takie, które nie będzie kapitulowało wobec upokorzeń i pogróżek.

ANNA SEGHERS w przedmowie do niemieckiego wydania, pamiętnika obozowego, antyfaszystowskiego pisarza Holandii, Nico Rosta.

15 listopada 1944.

Czarny dzień: 92 trupy.

Siedziałem właśnie na łóżku Seppa, mojego austriackiego znajomego z pokoju roentgenowskiego, któremu znów dolegały bóle żołądkowe, gdy wszedł Czech, pracownik kancelarii obozowej i wyszeptał, że przed kwadransem wywleczono z bunkra dziewięćdziesięciu dwóch oficerów rosyjskich i odprowadzono ich... Wiedzieliśmy od razu, dokąd! W stronę małego pagórka za krematorium, aby ich tam zastrzelić.

Nie mówiliśmy ani słowa, siedzieliśmy niemo i milcząco — czekając.

Sepp powstał i otworzył okno. Dopiero później zrozumiałem, dlaczego to uczynił...

Dyżurni szli właśnie po zupę. Wnoszono i wynoszono chorych, zmieniano bandaże, czyszczono rany. Odzywały się bolesne ryki, zrywały się dyskusje na temat przyszłości, śmiechy i obelgi wypełniły pokój.

Razem z Seppem siedziałem milcząco. Czekałem. Potem — padł pierwszy strzał. Mimowoli spotkały się nasze dłonie. Sepp spojrzał na zegarek, była dokładnie 11.30. I znów strzały... I znów. I znów. Próbowaliśmy je policzyć, ale dyżurni wrócili z zupą, zachwalając ją krzykliwie: Dobra zupa, dobra zupa, tłusta zupa!

Wychyliliśmy się z otwartego okna. Znów strzały, strzały, strzały. O dwunastej padł ostatni, nagle stała się cisza. Sepp powiedział babcio i mocno: „Wciąż myśleć o tym, nigdy nie zapomnieć!" A był to wiersz z pieśni, którą tyle razy śpiewał nam Ernest Busch. Sepp nie miał zamiaru wydymać się retorycznie, ani nie chciał tego powiedzieć uroczyście, powiedział to bardzo cicho i bardzo zdecydowanie — i tym samym wypowiedział wszystko, co w nas nurtowało.

Po apelu.

Adi powiedział nam, że dziewięćdziesięciu dwóch oficerów sowieckich w czasie swego ostatniego marszu śpiewało Międzynarodówkę.

8 grudnia 1944.

Dziś przeczytałem raz jeszcze do końca „Wilhelma Meistra lata nauki". Jestem gotów bronić tego dzieła przed każdym, kto nazwie je „przestarzałym i niestrawnym". Książka ta pozostaje dla mnie nadal jedną z najgenialniejszych, jakie znam. W której ze współczesnych powieści spotkamy tak niezrównane postaci jak Philine lub Mignon? W przedmowie do posiadanego przeze mnie wydania znalazłem cytat schillerowski na temat „Wilhelma Meistra": Spokojna i głęboka (książka), czysta, a mimo to niepojęta jak przyroda.

Naprawdę trudno o lepszą i trafniejszą charakterystykę dzieła.

23 grudnia 1944.

Wciąż nie ma paczki z holenderskiego Czerwonego Krzyża. Byliśmy tak pełni nadziei, że przynajmniej na święta przyjdzie coś! Belgowie i Francuzi oczywiście otrzymali paczki z Czerwonego Krzyża, Belgowie nawet po dwie!

I święto Bożego Narodzenia, 12 w południe.

Wczoraj wieczór do jedenastej z Fritzem. Wynaleźliśmy nową grę, która odwróciła nasze myśli od domu. Gra zaczynała się od pytania Fritza: „Jak zachowałby się Goethe tu w Dachau, gdyby był naszym współwięźniem?"

Zapisaliśmy nasze odpowiedzi i porównali. Później to samo pytanie odnieśliśmy do innych jeszcze pisarzy i myślicieli. A zatem:

GOETHE: Aresztowany, bo w paryskim piśmie „Le Globe", pisząc rozprawę z zakresu ontologii, wypowiedział się z lekceważeniem o teoriach rasistowskich profesora Günthera. Więźniem jest już od dwóch lat, bo — jak czytamy w rozkazie aresztu — publikacja jego zachwiała zaufaniem do nauk narodowo-socjalistycznych. Wkrótce jednak odzyska wolność, czego dowodzą choćby osobiste starania w jego sprawie, jakie Hans Carossa poczynił u Goebbelsa. Tu w Dachau osiągnąłby zapewne funkcję kapo rewirowego lub kapo na komorze śmierci. W każdym wypadku godność miałby niebylejaką! Utrzymałby z pewnością idealne stosunki nie tylko z Polakami, ale i z komunistami. W stosunkach z SS wykazałby wiele sprytu i dyplomacji, tak że w końcu i my nie moglibyśmy doń mieć żadnych o to zastrzeżeń. No i oczywiście uzyskałby specjalne zezwolenie na utrzymanie włosów.

SCHILLER: Aresztowany, gdyż w piśmie swoim „Horen" opublikował poemat „Ex oriente lux", który uznano za hymn pochwalny na cześć Związku Radzieckiego. Śledztwo wykazało, że Goethe, jako współredaktor, sprzeciwiał się publikacji wspomnianego wiersza, dopatrując się w nim ataku na reżim swego księcia Karola Augusta.

Sytuacja Schillera w Dachau jest niezmiernie ciężka. Prowadzi komando lokomotyw Monachium czyli po prostu Lokomotivenkommando München. Współwięźniowie, których praw broni przy każdej okazji, mówią o nim jak najlepiej. Z większością kapo i starszych blokowych żyje jednak w stałym napięciu i nieprzyjaźni, do tego stopnia, że dwa razy już dostał po dwadzieścia pięć na goły tyłek i stale żyje w strachu, że mogą go wysłać na „transport".

GEORG BÜCHNER: Aresztowany, bo komunista — w dodatku kolporter zakazanej literatury, między innymi i pamfletu „Pokój chatom, wojna pałacom". Na specjalny rozkaz Berlina został w Dachau powieszony. Wieczorem po apelu współwięźniowie urządzili na jego cześć wielką akademię. Oczywiście zakonspirowaną.

HENRICH VON KLEIST: Aresztowany jako współpracownik wydawnictwa ruchu oporu (dyrekcja wydawnictwa: Ernest Jünger i Ernest Nikisch) oraz jako podejrzany o udział w zamachu na Hitlera z dnia 20 lipca 1944. Choć miał dobre zamiary, wkrótce pokłócił się z wszystkimi w swej izbie. Pewnego pięknego dnia popełnił razem z pewnym homoseksualistą, węgierskim oficerem, samobójstwo. Uczynił to nie ze strachu przed SS, lecz w przekonaniu (budzącym w nim zwątpienia), że my, wszyscy i o każdym czasie, nie gwarantujemy wykonania tych obowiązków, które na nas nakłada życie.

HÖLDERLIN: Aresztowany jako element aspołeczny. Zbojkotował obowiązek zgłaszania sie do pracy. Zaraz w pierwszych dniach swego pobytu w Dachau okazał się zupełnie niezdolny do życia obozowego, toteż jego starszy blokowy, Polak z pochodzenia, przywlókł go na rewir do pokoju dla nerwowo chorych, gdzie nałożono mu natychmiast kaftan bezpieczeństwa. Wkrótce potem felczer, który go szczególnie znienawidził („ten Hölderlin twierdzi nadto bezczelnie, że zna także... język grecki"), wysłał go z „transportem inwalidów".

SCHOPENHAUER: Aresztowany, bo odważył się nazwać psa Leya „plebejskim ścierwem". (Pies Leya pogryzł jego ulubionego pudla Atmę). Uzyskał tu wysoką funkcję i codziennie obżera się paczkami. Z zawartości paczek rzadko tylko korzystają współwięźniowie, i to wyłącznie funkcyjni. Jest pyszny i egoistyczny, większość współwięźniów uważa tylko za „fabrykaty natury".

NIETZSCHE: Aresztowany z powodu napisania i opublikowania ostrej krytyki dzieła Rosenberga „Mit dwudziestego stulecia", w którym dopatrzył się sporo „rozpaplanego dyletantyzmu". Po paru tygodniach pobytu w obozie stał się muzułmanem, ustawicznie płacząc i wystając wieczorami przed wejściem do bloku 26, z żebrzącą prośbą o trochę zupy.

GERHART HAUPTMANN: Zanotowaliśmy go właśnie jako następnego w naszej grze, gdy odezwał się warkot samolotów i poczęła walić artyleria przeciwlotnicza. Powstał taki hałas, że nie mogliśmy dalej spisywać naszych uwag i proroctw.

26 stycznia 1945.

Dziś w południe w pierwszym tomie wydania propylejskiego (z biblioteki obozowej) natknąłem się na fragment z Goethego w... żargonie!

Właściwie powinienem był o tym wiedzieć, jeśli pamiętałem o czwartej księdze „Dichtung und Wahrheit". Opowiada tam Goethe, że już w młodych latach pasjonowały go studia nad starym testamentem, przy czym zaczął nawet pisać wielki poemat epicki o historii Józefa. Ojca swego prosił, czy nie mógłby pobierać lekcji hebrajskiego. Rzecz jasna, że musiał się dobrze orientować w żargonie, mieszkał wszak obok frankfurckiego getta, gdzie miał niejednego żydowskiego przyjaciela.

Z niemieckiego spolszczył

JACEK BRZYM

Vlastimil Hofman: SŁOWO O SZTUCE

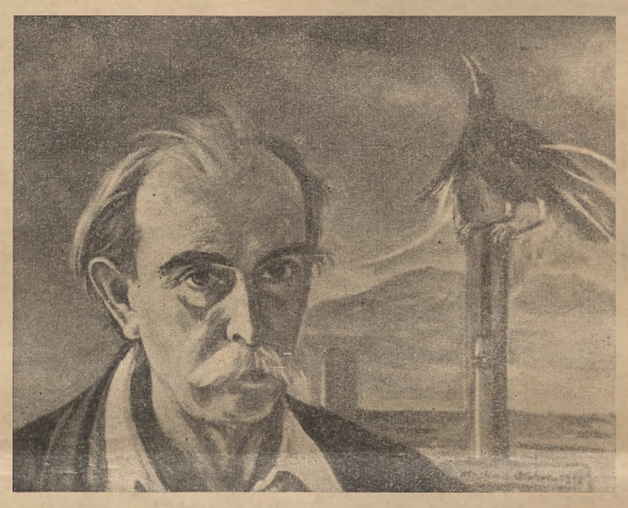

Będąc zaproszonym przez Szanowną Redakcję, abym coś powiedział o swojej sztuce, pozwalam sobie wypowiedzieć w kilku słowach moje artystyczne credo. Uważam się za skromnego pracownika w wzniosłej dziedzinie polskiej sztuki, stojącego poza nawiasem życia publicznego. Staram się malować jak mogę najlepiej, z jakim skutkiem, nie wiem, od tego są inni: w jaki sposób mnie zaklasyfikują. Myślę jednak, że dopiero czas będzie bezwzględnie sprawiedliwym sędzią. Sądzę, że najważniejszym kryterium artysty jest jego własne sumienie. Jeżeli maluję jak widzę, czuję i jak rozumiem, a praca mnie cieszy, jestem spokojny, to mi wystarcza. Idę prosto przed siebie swoją własną drogą, a jeżeli to kogoś gniewa, to nie moja wina. Malując wypełniam swój obowiązek i nawet coś więcej aniżeli obowiązek, swoją misję. Moim jedynym staraniem i troską jest, abym możliwie w jak najdoskonalszej formie się wypowiedział w moich obrazach. Stara dewiza dawnych wielkich artystów francuskich jest też i moją obecną dewizą: „Les promesses cenist rien, Pexecution c'est tout". — Artysta, który zdradzi siebie dla mody lub dla przypodobaniu się krytykom, czy też dla jakichkolwiek innych względów, schodzi na manowce, a wtedy już mu nie pomogą żadne plany krytyków i nic nie zdoła go pocieszyć, gdyż prawdziwie tworzyć można jedynie z miłości, a mody szybko się zmieniają.

Proszę przyjąć tych kilka moich zdań z wyrozumiałością, może nawet z pobłażliwym uśmiechem. Nie będąc zarozumiałym, nie znam pychy i nie żywię nienawiści do nikogo, więc się nie obrażę.

Serbo-Łużyczanie

(Dokończenie ze str. 1)

14% według tego spisu żyje Serbo-Łużyczan na terenie 3 powiatów Łużyc Górnych, poza miastami z ludnością powyżej 10.000 mieszkańców. Ostrożne obliczenie przeprowadzone w roku 1946 wykazały, że w tych miastach procent Serbo-Łużyczan waha się od 5 do 10%. Sam Budziszyn ma nieco wyższą cyfrę. Przyjmujemy za tym średnią, to jest 7 i 1/2%. Wówczas otrzymamy:

ogólna liczba mieszkańców całych Łużyc . .	1,211.034
15 miast powyżej 10.000 mieszkańców	397.566
ludn. ogólna bez miast	813.468
14% z 813.468 ludn . .	113 885
7,5% z 397.566 ludn.	29.817
razem ludności Serbo-Łużyckiej	143.702

Ta liczba jest niewątpliwie realną. Należy ją nawet uważać za minimalną, wobec faktu, że tylko 40% miejscowości było objętych spisem podstawowym i to w 3 powiatach o stosunku narodowościowym niekorzystnym dla ludności serbo-łużyckiej. Powiaty wojerowski, niszczański oraz niektóre powiaty dolno-łużyckie wykazują większą liczebność Serbo-Łużyczan.

Grupy uchodźcze Serbo-Łużyczan poza Łużycami obejmujące około kilka tysięcy osób (brak ścisłych danych) znajdują się w Czechosłowacji północnej (Szluknov — Rumburk — Varnsdorf) oraz w Texasie (USA) i w Argentynie.

c) Życie narodowe Serbo-Łużyczan

Dążenia kulturalne Serbo-Łużyczan od r. 1945 mają poparcie władz i organów oficjalnych. Odbudowa kultury narodowej i reorganizacja życia narodowego opiera się na „Ustawie łużyckiej" z dnia 23 marca 1948, ogłoszonej w Dzienniku Ustaw kraju saksońskiego, IV rocznik, numer 9, str. 191, 9 kwietnia 1948 (Gesetz- und Verordnungsblatt Land Sachsen, wydaje Landesregierung Sachsen, Büro des Ministerpräsidenten). Projekt ustawy był opracowany przez Domowinę w porozumieniu z SED i przedłożony w parlamencie kraju saksońskiego przez frakcję SED. Parlament przyjął tekst ustawy jednogłośnie. Przepisy ustawy odnoszą się jednak tylko do terytorium górno-łużyckiego, znajdującego się pod administracją rządu kraju saksońskiego. Dla ludności dolno-łużyckiej, znajdującej się pod administracją brandenburską ustawy takiej nie wydano. Treść ustawy jest następująca:

Ustawa o ochronie praw ludności Serbo-Łużyckiej. (Gesetz zur Wahrung der Rechte der Sorbischen Bevölkerung. Zakoń wo zakhowanju prawow serbskeje ludnosće).

§ 1. Ludność serbo-łużycka korzysta w odniesieniu do swego języka, działalności kulturalnej i swego rozwoju z ochrony prawnej i państwowego poparcia.

§ 2. Dla dzieci serbo-łużyckich winny być stworzone szkoły podstawowe i dalej kształcące z serbskim językiem nauczania w których również winna być udzielana nauka języka niemieckiego.

§ 3. Na obszarze łużycko-niemieckim winien być dopuszczony język serbski obok języka niemieckiego w urzędach i administracji.

§ 4. Na obszarze łużycko-niemieckim należy przyjąć do administracji odpowiednie liczebności ludności serbo-łużyckiej ilość antyfaszystowskich demokratycznych Serbów Łużyckich.

§ 5. Celem kierowania i popierania Serbo-łużyckiego życia kulturalnego zostanie stworzony Serbo-Łużycki Urząd Oświaty i Kultury z siedzibą w Budziszynie podlegający Ministerstwu Oświaty.

Obsada personalna ustala się na podstawie propozycji dozwolonej antyfaszystowskiej serbskiej organizacji.

Celem odbudowy serbskiego życia kulturalnego i jego dalszego rozwoju należy korzystać ze środków finansowych z ogólnego budżetu państwowego.

§ 6. Władze i administracja na obszarze językowo mieszanym są zobowiązane do popierania wszelkimi sposobami serbskich interesów kulturalnych.

§ 7. Rozporządzenia wykonawcze wydają Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Oświaty.

§ 8. Ustawa wchodzi w życie z chwilą jej ogłoszenia.

Drezno (Dresden — Drježdźany) 23 marca 1948 r."

Projekt nowej konstytucji niemieckiej opracowany przez Niem. Kongres Ludowy, przewiduje w art. 11 ochronę praw mniejszości narodowych w demokratycznym państwie niemieckim.

W parlamencie kraju saksońskiego Serbo-Łużyczanie posiadają 1 delegata: jest nim Gustaw Mertin z Delnjehe Wujezda (Uhyst a. d. Spree), wystawiony jako kandydat przez Domowinę na wspólnej liście z partią SED; przy wyborach 20. X. 46 do parlamentu Domowina i SED uzgodniły wspólną listę kandydatów (Listenverbindung). Z trzech kandydatów Domowiny przeszedł jeden do parlamentu.

W sejmiku powiatowym budziszyńskim z 52 delegatów jest 11 Łużyczan (5 SED, 1 LDP, 5 CDU).

Starostą powiatu budziszyńskiego jest Serbo-Łużyczanin dr Jan Cyż (Dr Johann Ziesche, Landrat).

Inspektorem szkolnym na okręg północny powiatu budziszyńskiego jest Paweł Nowotny (Serbo-Łuż.).

d) Organizacje i instytucje

(Uwaga: wszystkie nazwiska podawane są poniżej w brzmieniu łużyckim i w nawiasie, o ile istnieje różnica, w brzmieniu oficjalnym niemieckim).

1. Domowina, Zwjazk łużyckich Serbów, Budysin (Bautzen Sa). (Domowina, Związek Serbów łużyckich, Budziszyn).

Domowina jest organizacją ludową, uznaną przez władze krajowe i okupacyjne, jako wyłączna reprezentantka interesów łużyckich. Sekretariat Centralny Domowiny: w Budziszynie (Bautzen Sa., Tuchmacherstr. 27, tel. 521 Bautzen/Sa.). Kierownik Sekretariatu Centralnego: Jakub Szajba, Budziszyn. Zarząd Domowiny: Paweł Nedo (prezes, od 30. XI. 1946) w Budziszynie; Jurij Handrik (wiceprezes; od 30. XI. 46) Njebjelcice; Meto Laszki (wiceprezes; od 30. XI. 46 do 1. IX. 48), Wjerbno/Łuż.-D., Arnoszt Simon (skarbnik, od 30. XI. 46), Budziszyn. Zarząd wybierany jest na okres 3 lat. Obok zarządu istnieją jako organy Domowiny: komitet wykonawczy (Domowinski Wuberek), składający się z członków zarządu kierowników wydziałów, kierowników okręgowych (županów) i 3 dalszych członków; komisja rewizyjna złożona z 3 członków oraz Walne Zgromadzenie (Hłowna Zhromadźizna Domowiny).

Domowina założona w r. 1913, przeorganizowała się w r. 1920 na związek związków i towarzystw. W r. 1936 rozwiązana przez Hitlera istniała nielegalnie do końca wojny. Prezesem od 1935 r. był Paweł Nedo.

2. Macica Serbska, Budziszyn (Bautzen Sa.), adres: Tuchmacherstr. 27. Towarzystwo naukowe. Prezes: dr J. Wjacławk. (Dr J. Jatzwauk) w Budziszynie; sekretarz: dr Symank; skarbnik: dr Rezak. Przy organizacji istnieje Komitet Odbudowy Domu Słowiańskiego.

3. Słowiański Wuberk (Komitet Słowiański) w Budziszynie; adres: Bautzen Sa., Tuchmacherstr. 27. Prezes Michał Nawka, sekretarz: Miercin Nowak.

4. Centralny Ludowy Wuberk (Centralny Komitet Ludowy) w Budziszynie został założony na zjeździe 17 i 18 kwietnia 1948 r. w Budziszynie, celem realizowania ustawy o ochronie praw ludności łużyckiej; składa się on z 30 członków wybranych na zjeździe budziszyńskim. Prezes: Kurt Krjenc z Budziszyna, wiceprezes: Paweł Szołta z Wotrowa, sekretarz: Lenka Winarjec z Radworja.

W każdym powiecie górno-łużyckim istnieje okręgowy komitet ludowy; razem 5 (budziszyński, kamieński, lubijski, wojerowski, niszczański); w żytawskim nie ma komitetu ludowego. Nazwa łużycka: Wokrjesny Ludowy Wuberk. W miejscowościach, gdzie przeważa element serbołużycki istnieje „Wjesny Ludowy Wuberk" (gminny komitet ludowy).

5. Serbo-Łużycki Urząd Kultury i Oświaty w Budziszynie. Jest on instytucją rządową (Dienststelle der Landesregierung Sachsen) i podlega ministerstwu oświaty. Założony 1 maja 1948 r. na podstawie przepisów ustawy z dnia 28. 3. 48. Nazwa oficjalna: Serbski Zarjad Ludoweho Kublanja (Serbisches Volksbildungsamt der LRS, Bautzen Sa., Strehlärstr. 5, tel. 212 i 213. Kierownikiem jest: Paweł Nedo, radca ministerialny; jego zastępcą z urzędu: Kurt Krjenc (K. Krenz), Oberreg.-Rat. Kierownicy wydziałów: wydział kultury, nauki i literatury: Bożidar Dobrucky; wydział dla spraw publicznych: Kurt Krjenc; wydział prasowy: Jurij Briezan; wydz. młodzieżowy: Beno Szołta; wydz. żeński: Cecylia Nawkec; wydz. szkolnictwa: Paweł Nedo. Nominacje urzędników następują na podstawie propozycji Domowiny.

6. Przy landraturach górno-łużyckich istnieją **referaty serbołużyckie** dla koordynacji pracy z przepisami ustawy z 28. 3. 48 oraz z pracą łużyckiego urzędu kultury i oświaty. Nominacje te również następują na podstawie propozycji Domowiny. We wszystkich 5 powiatach górno-łużyckich „referenci dla spraw łużyckich przy landraturach" rozpoczęli swoją pracę w ciągu roku 1948.

Na powiat budziszyński: referent ob. Libsz, na pow. kamieński: referent ob. Kokla, na pow. lubijski: referent ob. Zarjenk, na pow. wojerowski: referent ob. Czorlich, na pow. niszczański: referent ob. Harza.

7. Całe szkolnictwo serbo-łużyckie podlega bez względu na granice powiatowe kompetencji inspektora okręgowego okręgu Budziszyn Północny, ob. Pawłowi Nowotnemu do czasu zorganizowania własnego szkolnictwa serbo-łużyckiego. Nadzór i kontrolę prowadzi **„Serbski Zarjad Ludoweho Kublanja".**

8. Organizacje już nie istniejące.

W latach 1945 i 1946 istniał **„Łužisko-Serbski Zemski Narodny Wuberk"**, tj. Serbo-łużycki Narodowy Komitet Krajowy. Na czele stał zarząd, który się nazywał: **Narodna Rada** (Rada narodowa). Założona w maju 1945 r. w Pradze. Prezesem NR był farar (ks. proboszcz) Jan Cyż w Hajnicach; sekretarzem NR dr Jurij Cyż w Pradze. W Pradze była tzw. „Prażska odboczka LSZNW", której kierownikiem był dr Jurij Cyż. W sprawach NR na terenie międzynarodowym występowała wielokrotnie Marta Cyżova, żona dr Jurija Cyża. Narodna Rada i Ł.-Serbski Zemski Narodny Wuberk przestały istnieć w październiku 1946 r., kiedy to większa część członków — będących zarazem funkcjonariuszami Domowiny — na znak protestu przeciwko postępowaniu dr Jurija Cyża, opuściła organizację. Farar Cyż formalnie złożył funkcję prezesa w dniu 20. 2. 1947. Dr Jurij Cyż zmarł w październiku 1947; farar Jan Cyż zmarł w sierpniu 1948 r.

9. **Szkoły i uczelnie:**

Obok szkół niemieckich (dla dzieci niemieckich) istnieją od r. 1948 szkoły z językiem wykładowym serbo-łużyckim, które nie podlegają niemieckim inspektorom szkolnym. Z powodu braku dostatecznej ilości sił nauczycielskich, część szkół serbo-łużyckich nie przeszła dotąd na łużycki język wykładowy. Do czasu wydania własnych podręczników szkolnych, używane są nadal podręczniki niemieckie.

Gimnazjum łużyckie na razie z 3 klasami istnieje w Budziszynie (Bautzen Sa. — Wendischer Graben). Dyrektor gimnazjum: Jurij Wjela. Gimnazjum łużyckie w Varnsdorfie (CSR) zlikwidowało się 1. I. 49 r. Klasy przeszły wraz z nauczycielami do gimn. łużyckiego w Budziszynie. Dla nauczycieli założono **seminarium pedagogiczne w Radworju: Serbski wucerski wystaw w Radworju**, (Serbisches Lehrerbildungs Institut in Radibor Sa.); dyrektor: A. Lajnert.

Poza tym prowadzone są dla młodzieży **stałe kursy dokształcające** (6-tygodniowe i 3-miesięczne) w Chroscie. Dyrektor: J. Mechela, zastęp. W. Michałk. Od 1. I. 49 w Radworju istnieje także **Uniwersytet Ludowy:** Rektor A. Lajnert.

10. **Serbske Ludowe Dźiwadło (Łużycki Teatr Ludowy);** kierownik Paweł Nowotny: Bautzen Sa., Tuchmacherstr. 27. W r. 1948, zachowując pełną samodzielność, SLD przyłączyło się do „Deutsche Volksbühne", jako wydział „Serbische Volksbühne". Jest to zespół wędrowny i stałego teatru dotąd nie posiada. Stałą scenę ma otrzymać w Domie Słowiańskim, który znajduje się w budowie w Budziszynie.

11. **Serbski Simfoniski Orchester,** Bautzen Sa., Tuchmacherstr. 27; dyrygent i kierownik: Jurij Winar, Radwor.

12. **Łužiska Hospodarska Banka** (Lausitzer Wirtschaftsbank, w Budysinje (Bautzen Sa.), Tuchmacherstr. 27, bank spółdzielczy. Kierownik banku: H. Mosak (H. Mosigk).

13. **Łuko (Łužiska Kooperatiwa Wikowanja),** łużycka kooperatywa handlowa w Budziszynie; Bautzen Sa., Reichenstrasse. Kierownik: J. Križan (J. Zieszang).

14. **Prasa i wydawnictwo:**

„Wydawn. Domowina", wydawnictwo i drukarnia, w Budziszynie. (Bautzen/Sa., Vor dem Schülertor 21; tel. 702).

Spółdzielnia. Wydaje wszelkie książki, czasopisma i gazety łużyckie. Założona w czerwcu 1947. Licencja 299 SWA z 29. 5. 47.

„Nowa doba": gazeta łużycka, wychodzi 3 razy tygodniowo. Numer pierwszy ukazał się 6. 7. 1947 r. Licencja nr 300 SWA z 29. 5. 47. Administracja: Bautzen/Sa., Vor dem Schülertor 21. Redakcja Bautzen/Sa. Tuchmacherstr. 27. Redaktor naczelny: Marcin Nowak. Dodatki do „Nowej Doby": **„Hłos Młodziny"** (miesięcznie), **„Nawa doba za dźeci"** (miesięcznie); **„Deutschsprachige Beilage"** (miesięcznie);

„Nowa Łužica" (dodatek literacki, miesięcznie); „Nowe Słowiaństwo" (nieregularnie); **„Dolnoserbski casnik"** (nieregularnie).

Poza tym ukazywały się następujące pisma:

„Nasze Nowiny". Wyszło tylko kilka numerów w miesiącach sierpień, grudzień 1946 r. Ostatnio numery hektografowane. Wydawało towarzystwo studentów łużyckich „Serbowka" w Pradze, dwutygodniowo. Redagował Jurij Mercink.

„Nasze Dźeło". Wyszedł tylko numer 1, z początkiem roku 1946.

(Opracowane na podstawie prywatnego archiwum łużyckiego autora Leksykonu).

EDMUND OSMAŃCZYK

KAZIMIERZ WINKLER-AUGUSTOWSKI

Na powrót Mickiewicza do Warszawy

Tylko słowo zostało na wietrze,
otoczone żelazną koronką
i cokołu wyziębły kamień
jak ostatni po Tobie ślad,
tylko gest rzeźbiony w powietrzu
po Krakowskim Przedmieściu się błąka,
przypomina i oczom kłamie,
że jesteś ciągle, że trwasz.

Lecz Ty wrócisz szlakiem pielgrzymów
znowu do nas z zielonej Litwy,
budujemy Ci drogę szeroką —
— wysmukły Śląski Most,
znów zobaczysz nad Starym Miastem
siwe kolumienki dymu,
dłoń podniesiesz, by miasto powitać,
w gardle uwięźnie Ci głos...

JAROSŁAW ROGALA

Tropik... Stawęcic

W pomorskim nazewnictwie miejscowym trzy większe grody zachowały wspomnienie swej grodowości w staro-pomorskiej końcówce: „gard". Były to: Stargard, Nowgard i Bielgard. Wszystkie trzy charakteryzuje gwarowa skrótowość przymiotnika, a z zestawienia dwóch pierwszych wynika, że Nowgard musiał być o wiele młodszy od Stargardu. Bielgard, zapewne podobnie odwieczny, jak wszystkie Stargardy obu skrzydeł Pomorza, zachował w swojej nazwie rzecz szczególną: kolor wyglądu.

Podobnie działo się z Beogradem serbskim.

W każdym razie Białogard, o którym zamierzamy dziś mówić, istotnie nastraja pogodnie, biało i dostatnio, jako połać Pomorza niewiele zniszczona, a od początku jej objęcia żywo zagospodarowana, zasiedlona i przodująca w kultywowaniu zadań gospodarczych rolniczego regionu.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że w roku 1945 z Ofensywy Styczniowej Armii Czerwonej, właśnie w tym miejscu, współdziałająca z nią, I-sza Armia Wojska Polskiego — mimo zasadniczego, równoleżnikowego kierunku natarcia: Wschód — Zachód — przecież tu, w okolicy Drawska, nagle obróciła się na północ i poszła przez starą

Białogard. Portal kościoła N. M. Panny.

Ziemię Białogardzką ku Kołobrzegowi. Zadziałała tu jakby przedziwna magia terenu, strategiczny czar jakiś, któremu podświadomie ulegli dowódcy, świadomie czytający tylko nakazy terenu z map wojskowych. W ten sposób, chwyciwszy już Wielkopolskę, istotnie pomorską północ należy zdobywać według strzał pradawnych dróg południowych. Tak samo robił Mieszko I i Bolko Chrobry, a nade wszystko Krzywousty.

Krzywoustowe drogi natarć znamy dość dobrze z Galla - Anonima, o którym niektórzy, wśród innych domysłów, sądzą, że był nim „kanclerz Michał, późniejszy biskup poznański". W każdym razie, jakkolwiek by było, czy Polakiem, czy Pomorzaninem na emigracji w Polsce, czy zgoła jakim „kogutem francuskim" szukającym chleba na piastowskim dworze możemy nazwać tego kronikarza, to jemu właśnie zawdzięczamy wiele wiadomości o grodzie, „Białym" nazywanym.

Weźmy wyjątek najpierwszy, dotyczący wyprawy Krzywoustego na Pomorców w roku 1102, a więc zaraz po śmierci jego ojca, kiedy zaczął się pięcioletni bój o jedynowładztwo między braćmi, synami oto zmarłego Władysława Hermana (4. VI. 1102 r.). Pomorcy wówczas — wraz z Czechami — popierali Zbigniewa, mającego w swoim ręku Wielkopolskę. Bolesław był jednak twardy i niespokojny, a ta niezłomność piastowska prowadziła go ku manewrom czynu i obrotności. A więc:

„... po zniszczeniu zarazy buntu (zaranie zatargu ze Zbigniewem) i upokorzeniu wroga ojczyzny najjaśniejsza gwiazda Bolesława rozsiewała złociste promienie cnót. Gdy jedne z wielkich grodów Pomorzan zdobył, a inne same mu się poddały. Białogrodzianie usiłowali stawić mu opór. Zamknął ich oblężeniem w tym sławnym grodzie który jest ośrodkiem Pomorza, a pokazując dwie tarcze, jedną białą, drugą czerwoną:

— Którą pyta — z nich wybieracie?

— Białą, ponieważ nęci rozkoszą, gdy tamta grozi straszną krwawą rosą — odrzekli.

On przeto do nich:

— Dobrze, jeśli chcecie być Białym grodem, będzie się bielił po waszym poddaniu. Jeśli zaś inaczej, posoka wypisze mu nazwę nową, aby nie Białym zwał się lecz czerwonym.

Odpowiadają mu w zaciętym uporze:

— Owszem będzie nazywał się i Białym i Czerwonym, aby Biały zapowiadał nasze zwycięskie powodzenie, Czerwony zaś waszą zgubę.

Na to Bolesław (zapewne do swoich):

— Ojcowie możni! Ci zbóje ośmielają się miotać obelgi. Śmieje się, gdy kret wyzywa rysia, mięczak tygrysa, a orła chrząszcz. Mężowie! Do broni! Nie do słów ... Potrzeba czynu, nie łajania" *)

Urwał się ten, jakby klasyczny, niemal Homerowy wstęp do boju przez urągania i Bolesław:

„... wybiega stąd przed wszystkich, przeskakuje szybkim pędem ostrokół wału. Usłysz o niesłychanej odwadze męża! Nie przeraża go tłum nieprzyjaciół łoskot broni, moc pocisków, nie lęka się brzemienia kamieni. Pierwszy wyważa bramy, pierwszy wpada do miasta wielotysięczne zastępy zabija, inne zmusza do ucieczki. Wszyscy, jakby porażeni bojaźnią majestatu, odrzuciwszy broń, pokornie upadają, błagają pobłażania nie dla siebie lecz dla maluczkich, zaklinają przed ich zagładą, a nie swoją. Mówią, że zasłużyli nie na łaskę lecz na ukrzyżowanie. Gdy wyrok nie nakazywał zmiłowania ani dla wieku ani dla płci najwybitniejszych, wszystkim Bolesław wybacza: uważał bowiem, że bardziej sprawiedliwe byłoby zbożne i ludzkie odpuszczenie, niż surowa zemsta sprawiedliwości".

*) Tekst w zasadzie według opracowań A. Gieysztora.

Po tym wstrząsającym i wręcz epickim, choć przytłumionym, opisie zdobycia Białego-grodu okazuje się też skutek mądrości politycznej Krzywoustego, bo oto:

„... rzecz ta (ułaskawienie Białogrodzian) nie małe dla niego uznanie wśród wrogów zrodziła. Z własnej bowiem woli przywódcy Kołobrzeżan, jak też innej prowincji Pomorzan oraz pozostałych okolic nie hardo, jak niegdyś, lecz z pochylonymi karkami biegną i poddają się pokornie ..."

W ten sposób Bielgard, siedziba książęca, południowy klucz do nadmorskiego Kołobrzega, padł wtedy, ale potem w dalszych walkach z Bolesławem odradzał się jeszcze buntowniczo i dostawał się znowu w jego ręce kilkakrotnie. Brano ten „gród bogaty i ludny" raz „w dziwny sposób", bez machin oblężniczych czy szturmu, raz „orężem i podstępem". Bywał i z ziemią równany i załogą polską obsadzony, aż, po ostatecznej chrystianizacji Pomorców wyprawy biskupa Ottona i rycerza Pawlika, uległ polskiej przewadze.

Jeszcze książęta pomorscy (linia wołogojska) wracają na gród i tu zbrojnie zastaje jednego z nich, starego Bogusława IV-go, ostatni margraf brandenburski z rodu Askańczyków, zaborczy Waldemar. Zdrada Święców, autochtonicznego rodu możnych, wynoszącego się ponad książąt i prowadzącego jakby swoją „prywatną" politykę, naprowadziła to niemieckie niebezpieczeństwo. Napad idzie od osiągniętego poprzednio Świdwina. Osłabiony odstępstwem rodaków, bezsilny, leciwy książę przyjmuje zwierzchnictwo margrafa, a niszczejący gród Biały zostaje mu w dożywocie (r. 1309).

Marchia zdobyczami sięga wysoko na północ, chce oskrzydlić resztę Pomorza i odciąć je od Polski. Podrasta wtedy mściciel, syn Bogusławowy: Warcisław. Ten to Warcisław IV, władając też Dyminem na lewym brzegu Odry, umiejętnie złączywszy siły ze stryjecznym bratem, Barnimem III szczecińskim, skutecznie zwalcza brandenburczyków. Naturalne przymierze z Polską i rozsądne z Danią ułatwiają mu to przedsięwzięcie. Bielgard odbity! Wzięty Świdwin, miasto z nazwy odmiany dereni ... Przecięcie Pomorza udaremnione. Połączenie z posiadłościami Zakonu Krzyżowego pozostaje nadal dalekim marzeniem.

Przeciw marchii wyszczerza się ostrokół grodów strażniczych, jakby wróg, od którego wara!

Już w łagodniejszej chwili Warcisławowic: Barnim IV, władający na cichym Bielgardzie, w Dyminie zaodrzańskim, a nawet na dalekiej Rugii, w cichym Świdwinie na pagórku każe postawić z szerokiej, porządnej cegły kościół brylasty i ciężki. Za patrona obrał książę św. Mikołaja, patrona podróżników i żeglarzy. Taki patron istotnie potrzebny był mieszkańcom kraju, co przejściowy był i ku morzu, i na przestrzał z Zachodu na Wschód.

Może wtedy kwitły tam świdwy, tak samo subtelnie, jak w chwili wykrzyknięcia nazwy przez pierwszych przezywaczy.

Oto ostatnie dni świetności. Biały gród upada, przestaje być „bogaty i ludny", ani już nie jest „środkowym ogniskiem krainy", jak to pisał tajemniczy Gall, obcy przybłęda lub Pomorzanin-emigrant.

Historia umilkła nad miastem, którego praojcom Bolko Krzywousty zadzierżyście pokazywał tarczę białą i czerwoną. Nie ma nawet wiadomości, czy byli tu legioniści Dąbrowskiego, w pierwszym odruchu rozpostarcia skrzydeł orła Napoleona ku Wschodowi (r. 1807). Może przedzwonił kopytami po brukach miasta jaki lekko-konny patrol z tego „szwadronu kawalerii", który na lewe skrzydło ku miastu „Colberg" posyłał generał-zawodowiec, sam pisząc o tym kierunku w liście do gen. Kosińskiego. Płk. Garczyński, dowódca „regimentu konnych strzelców Nr 2", pisząc raport do gen. Axamitowskiego, też tędy zapuszczał swoje jazdy. Krążyli — może i przez zgermanizowany „Belgard" — nadal ku „Goldbergowi" (tak już zatracił się Kołobrzeg w pamięci niektórych Polaków!) strzelcy konni tego dzielnego dowódcy.

Potomkowie, niegdyś bitnych Pomorców, tak już zcichli wtedy, że „Stary Fryc" mógł pisać o nich:

„Pomorzanie nie są ani okrutni, ani żądni krwi, a ich zachowanie się przeważnie łagodne; nie trzeba żadnej srogości, aby nimi rządzić".

Dawali się germanizować szkołą powszechną, szkołą rekruta, luteranizmem oraz ... rzetelnym, usypiającym dorobkiem.

I oto, jak wspomnieliśmy, intuicja dowódców nieświadomych tradycji uderzeń piastowskich, przywróciła życie odpolskiemu, odwielkopolskiemu kierunkowi natarcia: południe-północ. Po drodze do pierścieni obronnych twierdzy kołobrzeskiej natarcie polskiego żołnierza odbiło Białogard. Nie był to żaden ważny punkt. Nie pokazywano Białogrodzianom żadnej tarczy biało-czerwonej, ani czołga, malowanego w ochronne plamy i cienie, ani szturmu nie trzeba było, ani nawet podstępu. Cicho, bezbronnie zajęto i tyle.

Wielu robotników rolnych, porwanych z Polski na miejsce zabranych do szeregu „Pomrów", objęło poniemieckie gospodarstwa jako samorzutni, pionierscy osadnicy. Po reconquiście orężem następowała reconquista lemieszy.

Z mapy ks. Kozierowskiego odczytywano stare leśne nazwy tutejszych wsi: Suchorąb, Dąbrowo, Bukowo, Bierzwnik (Wierzbnik), Rąbino, Kłodzino, Lipno. Nikt nie wiedział, że Ząbrowo i Ząbrsko pochodzą od najstarszej nazwy żubra: ząbr. Praborem wiało z tej zdezaktualizowanej toponomastyki, krajobraz raczej był podobny do Chlebowa, Półchleba czy Rzepowa uprawnych pól. Prasłowiańska prapuszcza wydawała się odległa, jak zbite gąszcze tropików.

Wśród tych dni przynoszenia na lufach automatów nowej powszedniości, któryś bojowy patrol rozpoznawczy odkrył nagle ...

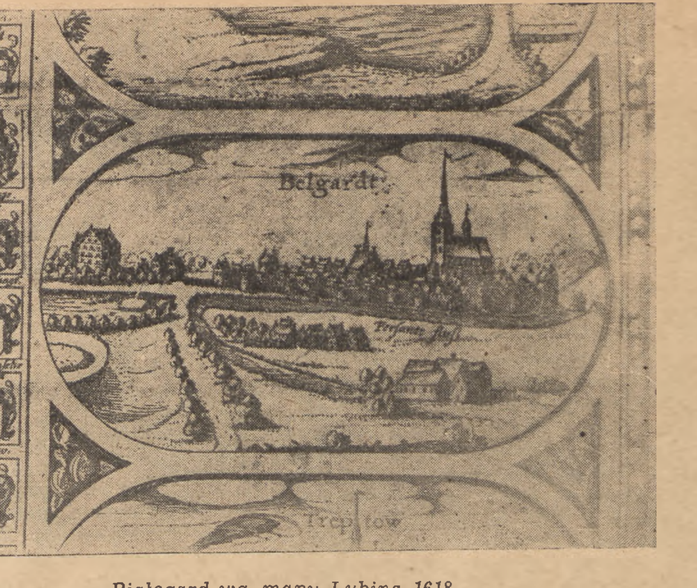

Białogard wg. mapy Lubina 1618.

Tak, było to istotnie zadziwiające.

Kilku zarośniętych żołnierzy, z bronią gotową do strzału, przeszukując świeżo zdobyty majątek, weszło do szklarni, gdzie ... oniemieli! Wkoło, wśród wilgotnego ciepła, orgia podzwrotnikowych roślin. Gięły się na wyszukanych, wiotkich łodygach, niższe, wyższe, zawieszone, podając sobie kwiaty barw. Jedne nakrapiane, skulone, inne rozpięte pastelowo i miękko. Bogactwo tonów, odmian, finezji i wynaturzeń ... Były bajeczne i zaskakujące. Zaczarowany ogród, żywy raj! W przejściu cieplarni, jak na ścieżce niezwykłości, stał człowiek. Okulary, wodniste oczy, ukochanie kwiatów ...

Ogrodnik i radzieccy żołnierze porozumieli się szybko. zaraz sprowadzono oficera. Wieść pobiegła wyżej. Regularnie zmieniały się warty, gdy samolotem przybyła komisja przyrodników z Moskwy. Uczeni rozpoznawali rzadkie i cenne gatunki podzwrotnikowych roślin, głównie storczyków. Kiwali głowami, cieszyli się, że nie padł tu żaden pocisk.

Wkrótce zdjęto warty i polska Dywizja Rolniczo-Gospodarcza objęła egzotyczny spadek po Niemcu, który na Stawęcicach doszedł do tego pomysłu.

Skądże się wziął?

Z nieurodzajności tego pasma ziemi. Tędy bowiem wlecze się polodowcowa żyła piaszczysta, żyła sławoborska, najgorsza z całego Pomorza.

Tradycja głosi, że już kiedyś tam w średniowieczu tutejsi w odycy słowiańscy tak byli znękani nieurodzajami, że... bawili się napadami na zachodnich rycerzy, co tędy ciągnęli z pocztami, jako „goście" do Krzyżaków, „goście" wojen przeciw pogańskim Prusakom, Litwie, a nawet, dawno już chrześcijańskiej Polsce. Tu, po niejednym borze żubr, coraz rzadszy i w swoich najmacierzystszych stronach, truchlał od szczęku bitki, krzyków, jęków, rzężenia zagardleń...

Dopiero, gdy w XIX wieku rozkwitała w ówczesnych Niemczech kultura rolna, niemiecki nabywca Stawęcic (Schlenzig) rozwinął pola ziemniaczane. Z tego powstała bodaj pierwsza w okolicy gorzelnia i płatkarnia. Szła intrata. Głazy narzutowe z pól przetworzono w budynki. Intensywność gospodarki i konkurencja sąsiednich przetwórni dały pomysł przestawienia się na produkcję sadzeniaków. Zaczęło się naukowe dobieranie gatunków. Drobne zielone kulki z łęcin ziemniaczanych hoduje się w inspektach. Całe cieplarnie pełne tego. Dalsze pielęgnowanie w gruncie. Piasek jest bez zarazków. Ziemniaki z surowych warunków sławiborskiej żyły są zdrowe i czyste. Sprzedane w świat, przesadzone w bujny grunt, strzelają silnym plonem. Francja płaci dwukrotne ceny! Po raz drugi bogacą się niemieccy właściciele. Zwiedzają świat, zachwycają się gigantami Ameryki, egzotyczną dziewiczością Brazylii. Lecz i w sadzeniakach konkurencja. Cały świat można by obsadzić produkcją „niemieckiego kartofellandu".

Uderza myśl: założyć hodowlę storczyków, takich, jak te z ... Brazylii, Paragwaju, Indii ...

Powstały nowe cieplarnie. Sprowadzono cuda puszcz światłocienistych i parnych. Specjalista-botanik, jak mamka, czuwa nad subtelnymi pupilkami. Rosną storczyki. Powstają krzyżówki. Nowy plon wzrasta, jak klejnoty roślin. Samoloty przerzucają luksusowy „kwiat królów" do Berlina. Wystawy! Zachwyt! Za drogie pieniądze zdobywa się taki kwiat-zachciankę, kwiat wykwint.

Storczyki działają urzekająco, ich wielorodzajowość, różnokształtność, różnokwietność, różnoobyczajowość, zasięg geograficzny Azji, Australii, Ameryki. Przywodzą na myśl orgiastyczną wegetację puszcz nieodkrytych, ich cienie, światła, zapach, temperaturę. Wkoło tych kwiatów unosi się barwność niezwykłych motyli, ptaków przedziwnych.... jad węży może czaić się w ich fantastycznych liściach czy płatkach. Pobudzają wyobrażenie. Podniecają. Jedne orchidee, cieniowytrzymałe, nawet cieniożądne, wczepione były w mech, w przykorzenie tropikalnych roślin, inne wyrastały wysoko z pyłku swych nasion, które aż na korony najwynioślejsze zanosi wiatr. Nigdy tam, ani w dole nie bywają pasożytami, zawsze samoistne, najwyżej współżyjące z grzybami, z którymi wzajem sobie pomagają przechowywać wilgoć. Barwią się niesłychaną rozrzutnością storczyki, jak motyle równika, złowione na giętkie łodygi, jak pióra ożywione nową fazą życia. Te z cienia nakrapiane są wyraziście, jakby stężeniem cienistości poszczególnych maści.

Szczyt kwiatów, kwiat szczytów — choćby Himalajów! — jest tem rozrzutniejszy symbolicznie.

Ale jak się żywią?

Dosłownie powietrzem.

... ich absorbcja głównie odbywa się z powietrznej wilgotności. Staje się ona istotnie dla nich pożywieniem tylko w pewnej temperaturze. Temperatura lotnej, nieuchwytnej wilgoci jest ich konkretem biologicznego życia. Przedziwny to jakby paradoks.

Z raju tropików, z piękna walki o byt roślin, o słońce życia można było brać owe kwiaty.

I oto teraz zostały zdobyte w wojnie.

Cieszono się nimi naprzód w oddziałach, potem objęły majątek Państwowe Nieruchomości. Teraz wyszły do kwiaciarń Warszawy. Niemal na gruzach tragizmu Stolicy odbudowywał swój przepych władania kwiat godny złożenia najgodniejszemu miastu świata.

Rozegrała się wokoło nich też pewna zabawna historia. Dwaj bracia, kwiaciarze warszawscy, wydzierali sobie niemal bratobójczo monopol na ten „towar". Bywają sytuacje podobne do dziejów braci-murarzy wież marjackich Krakowa. Czy to nie ciekawe, że można niemal pozabijać się o osiągnięcie szczytów piękna ... Z ambicji lub tylko dla zysku ...

A prawie obok, bo nad pasmami plaż bałtyckich rośnie rodzimy storczyk pomorski. Szukaj go latem na szarych wydmach, które przesłania światlisty-rój sosen, co wiatr odmorskie czesze im czuby. Storczyk - kruszczyk rdzawo - czerwony (epipactis rubiginosa) siedzi nisko. Ciemno-wiśniowe jego kwiaty pachną dziwnie wanilią.

Bywa, że zsuwa się aż na wydmy białe, pieczętując lotny piach swoją urodą. Może go też znajdzie się kiedy na brzegu lasu, choćby po drodze z Międzyzdrojów do Kolczewa na jedynej wyspie Polski.

Gdyby, jak w Japonii, motywy herbów zapożyczano z wzorów kwiatów — Pomorze, miast Gryfa, mogłoby wybrać swój kwiat najpiękniejszy. Dziki, a łagodny, przymorski i wydmowy, sąsiad czarnojagodnej bażyny, siwej chrobotki czy wrzosu: kwiat kruszczyka jest każdemu dostępny, każdemu przyjazny i bliski ...

Jarosław Rogala.

Życiorysy miast

Iskry na uskokach ratusza

Rynek Lwówka jest obszarny, przestronny. Przetacza się przezeń słońce. Lśni i połyskuje w kałużach po spadłym niedawno deszczu. Tańczy złotymi smugami na dachach i galeryjkach ratusza. Fasady wysokich, wąskich zabytkowych kamienic są kolorowe jak dekoracja. Zresztą to naprawdę jest dekoracja, bo rzadko w której kto mieszka. Są spalone od piwnic aż po poddasze. W kolorowych fasadach ciemnieją puste i pozbawione szyb prostokąty otworów okiennych.

Gotycko-renesansowy ratusz XV i XVI stulecia, przy którego budowie w czasach renesansowych pracował słynny architekt Roskopf ze Zgorzelca, wznosząc się z środka rynku, przeciąga na łakome zabytki spojrzenie historyka sztuki. Można obejść budowlę wokoło i wdychając z lubością ciepłe, wilgotne powietrze, badać zawiłą mowę kamieni opracowanych niegdyś cierpliwymi rękami cechowych rzemieślników - artystów, którzy po całej Europie rozsiali kamienne i ceglane pamiątki swojej teraźniejszości, która dla nas jest tylko śląskim dokumentem historycznym epoki, artystyczną pamiątką, socjalnym dokumentem kultury.

Dzieje Lwówka nie odznaczają się niczym coby je odróżniało od historii innych miast śląskich. Miasto przeżyło swe wojny, swoje klęski, swoje pożary. W epoce Wojny Trzydziestoletniej, Wojen Śląskich, Kampanii Napoleońskich. Gościło w swoich, nękanych pożogą wojenną murach, w roku 1813, Aleksandra I, Fryderyka Wilhelma II, wreszcie Napoleona, którzy zatrzymywali się tutaj w swoich wojennych pochodach.

Stare źródła, nawet niemieckie (jak na przykład książka niejakiego Mullera, sekretarza Biblioteki uniwersyteckiej we Wrocławiu w czwartym dziesiątku lat XIX stulecia), wspominają o wielkiej roli jaką w stosunku do Lwówka odegrali Piastowie Śląscy. Grodziszcze i zamek na przykład, z którego już nic nie zostało, zbudował Władysław II, rozbudował jego następca Bolesław, dziad Henryka Pobożnego. W pierwszych latach XIII stulecia, bywała tu częstym gościem św. Jadwiga śląska, fundatorka cystersek trzebnickich, matka niezapomnianego herosa słynnej bitwy legnickiej.

I tu odnalazłem więc punkty styczne historii ogólnopolskiej z dziejami starego Śląska. Oczywiście że panowanie Władysławów, Henryków i Bolesławów na Śląsku, nie wyczerpuje nawet w drobnym odsetku zagadnienia polskości tych ziem. Lud śląski, jego dzieje, kultura, język i obyczaje, jego walki i jego pragnienia. Wszystko, co się stopiło w ciągu przemian dziejowych w monolit niewątpliwej polskości. Dziś Lwówek jest znowu polski i nie jest to tylko sprawa mechanicznego przesiedlenia ludności. Zagadnienie sięga głęboko korzeniami swymi w historię i w procesy rozwoju ogólnopolskiej ogólnoeuropejskiej kultury. Często zdarza się tak, że tylko wązlutka nić łączy przeszłość z teraźniejszością, kraj z krajem, społeczność ze społecznością, ale w takich właśnie wypadkach, więź ta wbrew wszelakim oczekiwaniom jest zwykle bardzo mocna, nie rozerwalna. Jeszcze w XVI stuleciu jeździli polscy żakowie z Lwówka na studia do polskiego Krakowa jak Jan Cerasinus na przykład, który urodzony we Lwówku, po odbytych gdzieś w latach 20-tych tego stulecia studiach, był w Krakowie przez długie lata Wójtem Sądu Wyższego i tam swoje życie zakończył o czym szepce nam epitafium na murze Panny Marii krakowskiej. Wówczas ta więź niewątpliwie była teższa, mocniejsza niż później ale nie zerwała się nigdy. Jeszcze dziś w okolicach Lwówka zachował się piekny, polski słowiański obyczaj powiadamiania pszczół o zgonie gospodarza-bartnika.

Oglądałem pozostałości władysławowych fortyfikacji miejskich, które się zachowały we Lwówku lepiej niż w innych miastach. Jest to jedna z tych pamiątek polskości, które by należało za wszelką cenę uchronić przed dalszym niszczeniem i dewastacją. A jest to o tyle trudne, że nie są one tak malownicze ani tak efektowne jak mury w Niemczy na przykład. Osty, chwasty, wilgotne mchy, wyrastające spomiędzy szczelin, dokonują pracy zniszczenia i już nikt nie pamięta o dziele władysławowym, oprócz kilku historyków i kilku miłośników przeszłości.

Można by długo jeszcze pisać tak, opisywać, rozpamiętywać owe pamiątki historii. Można by na przykład opisać piękny, gotycki portal z różowego piaskowca i tympanon z XIII stulecia zdobiący farę lwowecką. Można by przejść się do Franciszkanów, wspomnianej gotyckiej fundacji Bolesława Rogatki, stanąć nad sarkofagiem książęcej pary piastowskiej. Zaprzestańmy jednak owej wędrówki wzdłuż cieni zamarłej przeszłości. Zabytkowe wieże lwóweckie wyrastają obok kominów. Omszałe mury piastowskie przeplatają się z jasnym tynkiem świeżo odnowionych budowli.

Miasto jest dość ożywione. I odnoszę wrażenie, że odgrywa ono już dzisiaj a w przyszłości odegra jeszcze bardziej poważną rolę. Rolę tę narzuca Lwówkowi jego gospodarcze usytuowanie w terenie. Ziemie są tu dość urodzajne i obfitują w poważne kompleksy lasów. Tuż niedaleko miasta — łomy czerwonego piaskowca, tego właśnie, z którego kamieniarze gotyccy wykuli tympanon fary. W Niwicach — złoża drobnokrystalicznego gipsu. Wszystko to stwarza podstawę pod rozwój trzech podstawowych gałęzi naszego przemysłu: rolniczego, leśnego oraz kopalnianego. Dodajmy hutę w Gryfowie, wody radioaktywne w uzdrowisku Świeradów - Zdrój i potężną zaporę na Bobrze.

Niebo różowieje powoli. Przesyca się złotym nalotem. Zapalają się złote iskry na uskokach i płaszczyznach ratusza. Bardzo mnie zmęczył ten dzień. Tyle wrażeń i tyle myśli. W pustych otworach okiennych nowypalanych kamienic zgęszcza się granatowy mrok. Pogłębiają się te otwory jak studnie. Szumi w nich ciemna przeszłość strasznych, wojennych lat, które spopieliły te domy. Szumi tak jak szumiały płomienie przeżerające ich wnętrza. Ta przeszłość już nie powróci, bo Lwówek jest polskim miastem. Miastem przynależnym do kraju, który pracą milionów par rąk, pracą tysięcy mózgów buduje pokój dla świata, wolność dla ujarzmionych, sprawiedliwość społeczną dla wszystkich.

Tadeusz Zelenay

KRYSTYNA WRYCZAN

Notatek paryskich seria czwarta

Drobnomieszczanin Montaigne

Niezwykle pouczająca dla zrozumienia psychologii francuskiego drobnomieszczaństwa jest postać Montaigne'a, z zastrzeżeniem, że właściwe mu cechy występują u niego z ostrością, znamienną dla jednostek genialnych. „L'humaine condition" jest obiektem rozmyślań znakomitego autora „Essais" i przenika on ją z wrażliwością wybujałego swego indywidualizmu. Tak ujawnił on prawdę tego, co jest gatunkowe, powszechne, właściwe wszystkim ludziom, oraz prawdę o sobie, prawdę tego, co w swej niepowtarzalnej indywidualistycznej odrębności jest też powszechnością, a mianowicie powszechnym ogólnoludzkim pluralizmem. Jako człowiek, taki sam jak inni ludzie, śmiertelny jak wszyscy, życia i użycia pragnący jak wszyscy, mówi on o śmierci o szczęściu. Tak samo jak inni znający cierpienie, broni on cierpiących: ofiary fanatyzmu (okres walk religijnych), ofiary przesądu (palono na stosie czarownice). Gromi barbarzyństwa wojny, jest rzecznikiem sprawiedliwości, wrogiem obskurantyzmu. Świat cały mieści się w książce Montaigne'a, ma on o nim szeroką i mądrą wiedzę.

Lecz czuje on przy tym sam siebie, tego siebie wiedzącego — czuje z epikurejskim upodobaniem, tym wrażliwiej, że świadom jest swego przelotnego na świecie bytowania. Jest sam na sam, inny od wszystkich innych, a styl jego jest taki jak on, nonszalancki i nerwowy, drżący od niepowtarzalnych indywidualistycznych doznań. Montaigne żyje dniem codziennym, z jego kapryśnie zmienną pogodą, a pisze tak, jak żyje.

Czy dzieło to jest światem w jego wspólnocie, tworem nieśmiertelnego konstruktywizmu? Czy też autorem tego dzieła, nim samym w jego nieuchwytnej odrębności? Czy to kolektywizm czy indywidualizm? Czy właśnie tak, jak w społeczeństwie francuskim, gdzie wszyscy razem, a każdy sam sobie?

Montaigne się „pożycza" a nigdy nie „daje". To robi też przeciętny Francuz, ten miły, udzielający się i usłużny kompan (il se communique). Lecz przy głębszym wejrzeniu jest on zamknięty, nieprzenikniony — z natury rzeczy (l'incommunicable), nie przez małpi zabobon kameralnych zaduchów, nie przez komedię hierarchicznych dystansów.

Nie brak było Montaign'owi odwagi cywilnej, z którą bronił ludzkiej sprawy życia. Lecz odwagi militarnej, odwagi śmierci nie posiadał. Nie miał żołnierskiego temperamentu. Być może zresztą, że u tego indywidualisty, tchórzliwość jego była też odwagą, cywilną odwagą swej nieefektownej prawdy osobistej. Na stanowisku będąc burmistrza Bordeaux, nie wytrzymał podczas dżumy na posterunku i opuścił miasto w obawie zarazy. Lecz pielęgnując swego przyjaciela La Boetie, bohaterskiego, pełnego stoickich cnót żołnierza — nie było granic jego samoofiarności, jego narażania się. Z jakich zasobów czerpał on siłę swej przyjaźni, którą doprowadził do ideału wzniosłości? Sekret to jego sam na sam („l'incommunicable"). Wiernie towarzyszył la Boetie do samej granicy śmierci, tego ostatniego ludzkiego doznania, o którym myślał i o którym chciał zapomnieć, które go nękało nierozwiązalnym swym problemem („que sais-je?").

Montaigne był konserwatystą. W okresie reformacji, nie zmienił religii i pozostał oficjalnie przy katolicyzmie, protestując przeciw przejawom fanatyzmu obu stron współwalczących. Przeklinał wojny i to wszystko, co mogło naruszyć regularny tryb życia, który prowadził w swej sławnej wieży, skąd tyle myśli spłynęło na człowieczeństwo, zdrowych i trzeźwych, a jednocześnie tak niepokojąco giętkich, jakby wyszłych spod laski Prospera z „Burzy" Shakespeara. Tak, jakby nie tylko z ludźmi miał do czynienia ten uprzejmy, wysoce towarzyski prowincjonalny ziemianin, prowadzący dom dla wszystkich otwarty; tak, jakby magii oddawał się na swej czarodziejskiej wieży, gdzie zagniewany jego „daimonion" podszepnął mu chyba te słowa irytacji: „gdyby czas miał koło, wkręcił bym mu drąg, aby się nie toczyło".

A jednak czas się toczy i Montaigne to wiedział przy wielkim swym rozumie i cywilnej odwadze. Toteż wbrew wszystkim swym narzekaniom, mocą życiowego fatalizmu, konserwatysta ten stał się potężną dźwignią postępu. Czas go nie zmiażdżył.

Dobrym jest to prognostykiem dla francuskiego drobnomieszczaństwa, którego Montaigne jest tak wierną odbitką. Nie można więc wnioskować o nasileniu reakcji we Francji według statystyk wyborczych: 33% komunistów („bohaterowie") na 67% reakcjonistów. Pośród tych 67% tylko część to nikczemnicy reakcji lub beznadziejne ofiary ich propagandy, obcej Francji duchem i interesem; większość to tylko tchórze, którzy wbrew sobie, tak jak Montaigne, oddadzą jeszcze usługi sprawie postępu.

W pewnym francuskim filmie pokazywano Franciszka I grającego w piłkę, która w XVI wieku była dopiero co wprowadzoną rozrywką towarzyską. Francja jest jak ta piłka, w ręku króla-humanisty. Gdy wypuszczał ją z rąk, wówczas leciała w dół, lecz nie pękała zderzając się z podłogą, gdyż będąc elastyczną odbijała się od niej i unosiła wyżej niż poprzednio.

Krystyna Wryczan

Obrachunki prowincjonalne

Muzy uśpione

W czasie, gdy metropolia polskiej kultury i sztuki Dolnego Śląska, jaką stał się Wrocław, szczyci się coraz to nowymi osiągnięciami w tej o doniosłym znaczeniu dziedzinie — wiele prowincjonalnych miast dolnośląskich wykazuje pod względem życia kulturalnego i artystycznego fatalne zaniedbania i zupełne niemal uśpienie. Musae silent ...

Domy Kultury, teatry amatorskie, kluby literackie, fotograficzne i inne placówki, które przy poparciu władz i pomocy społeczeństwa mogłyby się rozwijać — słabo są inwestowane i uruchamiane, podczas gdy społeczeństwo nasze na prowincji, zwłaszcza na obszarze Ziem Zachodnich wciąż jeszcze dotkliwie odczuwa brak kulturalnych rozrywek, a osoby pragnące znaleźć możność rozwinięcia twórczej inwencji i posiadające uzdolnienia artystyczne daremnie oczekują na otwarcie lokalnych ośrodków kultury i sztuki.

Do rozbudzenia i ożywienia działalności tych placówek nie wystarcza jednak pełna zapału inicjatywa twórczych jednostek. Musi nastąpić tu zgodne, jak najściślejsze współdziałanie dwóch dalszych czynników: władz miejscowych, które nie zawsze spieszą z pomocą materialną oraz społeczeństwa, które może nie dość skutecznie domaga się powołania do życia miejscowych ośrodków kulturalnych, lub też wobec uruchomianych wykazuje bierność.

Przytoczone główne przyczyny zaniedbań składają się, bodaj że w równej mierze, na ogólny niedowład życia kulturalnego na prowincji. Należy stwierdzić, że im prędzej nastąpi zespolona współpraca zainteresowanych czynników, tym szybciej obudzi się i okrzepnie życie kulturalne ośrodków lokalnych.

Z poparciem władz wiąże się nieodłącznie sprawa uzyskania potrzebnych funduszów inwestycyjnych i udostępnienia innego rodzaju udogodnień, ułatwiających zorganizowanie ośrodka kult., a więc: przydział lokalu, dostarczenie sprzętu etc. Zasadniczo chodzi w takich wypadkach o pokrycie materialne pierwszych niezbędnych potrzeb, dopóki dany ośrodek nie zacznie samodzielnie pracować i zyskiwać we własnym zakresie źródeł dochodu. Z chwilą usamodzielnienia się placówki — doraźne dotacje władz przyczyniają się do tym lepszego i szybszego jej rozwoju. Kredyty Rad Narodowych, Wydziałów Powiatowych, Zarządów Miejskich obejmują co prawda swym zakresem wspomniane cele, lecz fundusze nie zawsze są w sposób właściwy wykorzystywane.

Dla przykładowego zilustrowania zachodzącej konieczności tworzenia lokalnych ośrodków kulturalnych — przyjrzyjmy się życiu jednego z miast dolnośląskich — Lwówka Śląskiego i powiatu. Lwówek Śląski należy właśnie do tych miast, które pozbawione są ich prawie całkowicie. Nie istnieje tu Dom Kultury, ani teatr amatorski, ani żaden klub o charakterze artystycznym, w dotychczasowym powojennym okresie nie powstało tu żadne stowarzyszenie, w rodzaju Towarzystwa Miłośników Ziemi Kłodzkiej, które swą działalnością byłoby związane z życiem kulturalnym miasta i powiatu. Czynna jest tu jedynie Biblioteka Powiatowa, pozostająca pod zarządem Wydziału Powiatowego, kino oraz kilka świetlic poszczególnych instytucji, które oczywiście nie zaspakajają potrzeb kulturalnych ogółu miejscowego społeczeństwa. Sala Powiatowej Rady Związków Zawodowych, zaniedbana pod względem wewnętrznego wyposażenia — służy we Lwówku jako jedyne miejsce wszelkiego rodzaju imprez, zebrań, począwszy od widowisk teatralnych, uroczystości państwowych, partyjnych i in. — skończywszy na zabawach tanecznych. Brak lokalu przeznaczonego wyłącznie na przybytek Muz — powoduje częste zatargi, gdy np. zbiega się czas urządzenia jakiejś zabawy z terminem odbycia występu scenicznego przez przyjezdny zespół aktorski. Jak dotychczas — problem ten nie został pozytywnie rozwiązany.

Nie omijają Lwówka najazdy pospolitej szmiry, krzykliwie i szumnie reklamowanej, uprawiającej sceniczne korsarstwo na Dolnym Śląsku. Jak mizernie przedstawia się życie teatralne we Lwówku i na terenie powiatu, liczącego ogółem 6 miast i 11 gmin — wystarczy wspomnieć, iż np. w grudniu 1948 r. odbyło się tu na całym jego obszarze zaledwie 5 imprez widowiskowych, w tym jedną stanowił gościnny występ objazdowy Państwowego Teatru Jeleniogórskiego, przy czym należy zaznaczyć, iż odwiedziny te, mile przez społeczeństwo lwóweckie powitane, nastąpiły dzięki staraniom i poparciu Wydziału Powiatowego we Lwówku Śl.

Próba zorganizowania we Lwówku stałego teatru amatorskiego, którą podjął na przełomie 1947 48 r. Związek Zawodowy Pracowników Pocztowych, dając cztery przedstawienia, nie powiodła się z braku środków finansowych i braku należytego zainteresowania ze strony społeczeństwa lwóweckiego, które nie potrafiło docenić wysiłku pocztowców.

Próba utworzenia sekcji fotograficznej z początkiem 1947 r., w której programie było rozwinięcie ożywionej działalności na terenie powiatu lwóweckiego, obfitującego w bogactwo pięknych motywów krajobrazowych i architektonicznych (patrz zdjęcia obok) spełzła na niczym z braku materialnego poparcia.

Czynna we Lwówku Śl. placówka ZAIKS-u ogranicza swą funkcję jedynie do inkasowania sum od wydawanych zezwoleń przez Starostwo Powiatowe na urządzenie imprez rozrywkowych, nie starając się przyczynić choćby do sfinansowania wydawnictwa ... polskich widokówek, których brak odczuli w ubiegłym okresie letnim turyści, kuracjusze i wczasowicze.

Przeprowadzona z wiosną 1948 r. przez zlikwidowany obecnie Referat Kultury i Sztuki przy Starostwie Powiatowym rejestracja osób pracujących twórczo w dziedzinie sztuki wykazała, że jest na terenie powiatu garstka uzdolnionych jednostek, jednak nikt nie udziela im stałego poparcia, by pracę swą mogli w szerszym zakresie rozwinąć.

Muzy uśpione milczą ... Czas, by je obudzić.

Tadeusz M. Sierosławski

Wśród CZASOPISM

W najbliższym czasie czytelnicy polscy otrzymają w prasie codziennej i periodycznej solidną porcję materiału związanego z Czechosłowacją. Spodziewane jest i zapowiedziane z okazji przypadającego w marcu Tygodnia Przyjaźni Polsko-Czechosołwackiej wydanie szeregu numerów specjalnych. Będą to naturalnie numery różnorodne, odpowiadające charakterowi i kierunkowi poszczególnych pism i czasopism, zatem materiał będzie rozległy i różnorodny. Dla pism literackich i dodatków w dziennikach ogłoszony został nawet specjalny konkurs na najlepszy numer.

Tymczasem ze spacjalnym numerem czechosłowackim wystąpiło już zasłużone *Życie Słowiańskie*, którego redakcja chyba nawet jeszcze nie myślała o konkursie (tym większa zasługa), skoro numer ten zamyka z datą „grudzień 1948" rocznik pisma. Całość zeszytu jest raczej spóźnionym uczczeniem trzydziestolecia republiki Czechosłowackiej, które obchodzono pod koniec października ub. roku. Mniejsza jednak o okazje. Wystarczy fakt, że taki numer ukazał się i to w objętości przeszło 80 stron.

Naprzód uwaga ogólna. *Życie Słowiańskie* jest skromne, nieefektowne, niczym nie rzuca się w oczy i niczym nie wabi. Słowem solidne czasopismo nie ubiegające się o poklask i szeroką popularność. Przerzucenie treści poszczególnego numeru, przeczytanie na świeżo tego czy innego artykułu też jeszcze nie pociąga ani nie pasjonuje. Ale kto próbował odłożyć sobie na półkę trzy dotychczasowe roczniki, pewnego razu przekona się wreszcie co to za nieoceniona kopalnia wszelakich wiadomości o Słowiańszczyźnie: politycznych, historycznych, literackich i kulturalnych, gospodarczych i tych, które dotyczą wzajemnych stosunków państw i narodów słowiańskich obecnie i w przeszłości. Słowem niezbędna a zwięzła encyklopedia wiedzy słowiańskiej, stale pomnażana i uzupełniana. Kto sprawami słowiańskimi zajmuje się szerzej, kto interesuje się choćby tylko jednym ich wycinkiem, temu *Życie Słowiańskie* odda zawsze niezastąpione usługi. Czego nie znajdzie w samej treści pisma, znajdzie zawsze w bibliografii lub w streszczeniach książek. Wszystkie towarzystwa pracujące na polu współpracy z poszczególnymi narodami słowiańskimi winny dbać o to, by pismo to znalazło się na stałe w ręku ich członków a przede wszystkim ich działaczy.

Wracając do omawianego numeru czechosłowackiego charakter jego można określić jako historyczno-gospodarczy. Osobną pozycję w całości numeru mają artykuły poświęcone zagadnieniom wzajemnej współpracy polsko-czechosłowackiej no i jak zwykle obszerna część informacyjno-sprawozdawcza. Numer otwierają teksty i nuty hymnów narodowych czeskiego i słowackiego. Po wypowiedziach Premiera Cyrankiewicza i Ambasadora Piszka, historyczny zarys stosunków polsko-czechosłowackich daje prezes Komitetu Słowiańskiego w Polsce, wicemarszałek Wacław Barcikowski. Wiąże się z tą sprawą w dalszej części numeru krótki artykuł prof. Walerego Goetla o „Drogach Towarzystw Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej" oraz obszerny dział sprawozdań z innych wypowiedzi na ten temat (polskich, czeskich i słowackich) w rubryce „Co piszą inni?" Część historyczna obejmuje przede wszystkim cenny informacyjnie artykuł prof. Kazimierza Piwarskiego „Czechosłowacja 1918—1948" i artykuł prof. Karola Krejcziego „Sześćsetlecie Uniwersytetu Karola w Pradze". W historię nowszą i najnowszą wchodzą dwa dalsze artykuły: M. Hyski „Słowackie powstanie narodowe" i St. Trojanowskiego „Społeczno-polityczne tło wydarzeń lutowych w Czechosłowacji". Osobną część numeru stanowią sprawy gospodarcze, kwestie współpracy ekonomicznej, którym poświęcone są artykuły czechosłowackiego ministra przemysłu Augustyna Klimenta, ministra handlu zagranicznego Antoniego Gregora oraz sekretarza ambasady RP w Pradze Józefa Mayena-Szadzewicza. Główną treść numeru uzupełnia informacyjny artykuł Wł. J. Urbańczyka o wybitnym kompozytorze czeskim Leoszu Janaczku, którego dziesiątą rocznicę śmierci uroczyście obchodziła Czechosłowacja w roku ubiegłym. W dziale informacyjnym wyróżnić trzeba „najważniejsze wiadomości o współczesnej Czechosłowacji", gdzie zawarte są dane geograficzno-statystyczne, najważniejsze daty historyczne z lat 1918—1938 oraz streszczenie zasad nowej konstytucji czechosłowackiej. Ponieważ informacje te uzupełnione są schematyczną małą mapką Czechosłowacji, nasuwa się zapytanie: dlaczego do rzeczy niemożliwych należy otrzymanie w Polsce podręcznej lub ściennej mapy Czechosłowacji? Może na razie trudno jest wydać taką mapę po polsku, ale można by przecież sprowadzić trochę tych map z Czechosłowacji, bo potrzeba jest wielka wobec różnych i licznych odczytów, kursów itp.

Życie Słowiańskie znów więc dało całościowy numer, który w komplecie pisma stanowić będzie cenną pozycję i do którego trzeba będzie przy różnych, czasem drobnych, lecz stale nasuwających się okazjach pawracać.

Gdzieś doszły do nas ostatnio słuchy, że w Warszawie ma powstać wreszcie Polsko-Czechosłowacki Instytut Współpracy Kulturalnej. Ponieważ od zawarcia umowy o tej współpracy minie w tym roku dwa lata, czas jest po temu najwyższy. Bo w ogóle potrzeba tu instytucji kierującej, pomagającej i ułatwiającej, poprowadzonej mądrze i sprawnie. Zbyt wiele drobnych, ale w sumie istotnych trudności leży na tym odcinku współdziałania naszego z Czechosłowacją, trudności najprostszych w dziedzinie np. wymiany książek i czasopism. Jednym z wyników tych trudności będzie m. in. to, że rok obecny na scenach polskich znów przyniesie zaledwie ślad istnienia reperturu czeskiego i słowackiego. Wobec zmian, jakie zachodzą w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej, mieć można nadzieję, że i ta organizacja rozwinie żywszą i wszechstronniejszą działalność. Towarzystwo staje się organizacją powszechną a w związku z tym uzyskuje możliwości finansowe dla swej pracy. Te momenty powinny zadecydować o jego dalszym rozwoju. *(ki)*

EUGENIUSZ PONIATOWSKI

Obrachunki teatralne

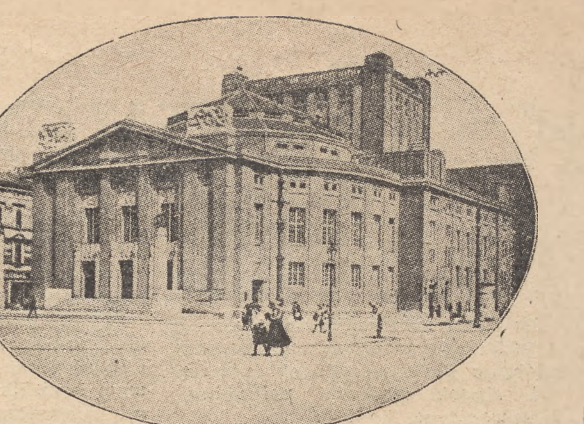

Teatr katowicki na rynku. Widok sprzed lat trzydziestu.

Na szpaltach licznych dzienników, tygodników i miesięczników, wychodzących w kraju, czytamy dość często o Państw. Teatrze Śląskim. Śmiało więc powiedzieć możemy, że są u nas ludzie pióra, którzy interesują się tym teatrem, bowiem piszą rzeczowe i wnikliwe recenzje, przeprowadzają analizę repertuaru, w ciepłych lub zimnych słowach oceniają grę aktorów i porównują artystyczną działalność tej placówki z osiągnięciami innych teatrów na terenie naszego państwa. Czynią to recenzenci, ludzie, którzy przychodzą do teatru niejednokrotnie też i na specjalne zaproszenie, lecz ograniczają się jedynie do omówienia w swych artykułach samych problemów artystycznych premier i prapremier. Z ich to właśnie recenzji znam też wypowiedzi o imprezach katowickiego teatru, ale zdaniem naszym nie wyczerpują one wiadomości o tym teatrze. Szeroki ogół społeczeństwa nie wie o tym zapewnie, jaka jest prawna działalność Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach, które ze sztuk jego repertuaru osiągnęły największą liczbę przedstawień, jaka jest frekwencja widzów, kto i w jaki sposób organizuje widownię w Katowicach i w terenie, jak reaguje publiczność, ile osób liczy zespół i jak pracuje . . . , i ile trudności ma dyrekcja z prowadzeniem największego w Polsce teatru objazdowego, jakim są obecnie Państwowe Teatry Śląsko-Dąbrowskie (Duża i Mała Scena w Katowicach, scena opolska i scena sosnowiecka), tymbardziej, że zagadnienia te potraktować należy na tle trzech różnych faz, które zaznaczają się w dziejach Teatru Śląskiego po 1945 roku. Teatr Śląski istniejący przed ostatnią wojną przez 17 lat, został otwarty po Odzyskaniu Wolności, dnia 5 lutego 1945 r. na zlecenie i na podstawie upoważnienia pełnomocnika Rządu Tymczasowego ob. majora Jana Wende, wiceministra Kultury i Sztuki, wojewody śląskiego ppłk. J. Ziętka i prezydenta miasta Katowic. Pierwszy administrator teatru ob. Walenty Śliwski, zabezpieczył gmach i uporządkował jego stan wewnętrzny wraz z inwentarzem. Od marca do końca sierpnia 1945 r. dyrekcję Teatru objęli K. Adwentowicz i W. Horzyca. W pierwszym tym okresie zespół liczył 25 artystów (11 artystek i 14 artystów), a organizację administracji i personelu objął dyr. T. Jodłowski. Dnia 2 kwietnia 1945 r. teatr rozpoczął swe nowe życie, dając premierę „Zemsty" A. Fredry. Do końca września tegoż roku dyrekcja wystawiła 6 premier. W Katowicach dano 120 przedstawień, które oglądało 98.697 widzów, a na prowincji 21 przedstawień, w trzech miejscowościach — przy widowni 14.546 osób. Frekwencja w Katowicach wynosiła 58.5 proc. a w terenie 72%. Z nowym sezonem teatralnym 1945/46, dyrekcję Teatru Śląskiego objął B. Dąbrowski a wicedyrektorem został mianowany M. Sobański. Dyrekcja podwoiła liczbę aktorów (23 kobiety i 27 mężczyzn) i do pracy powołała 3 reżyserów dając do końca sezonu 15 premier, organizując w Katowicach 286 a na prowincji w 18 miejscowościach — 117 przedstawień. Ilość widzów w Katowicach osiągnęła cyfrę 141.623 osoby, przy frekwencji 70 7 proc. a na prowincji 58.581 widzów, przy frekwencji 81 proc. W sezonie tym sztuka „Cały dzień bez kłamstwa" G. Montgommerygo osiągnęła 51 przedstawień. Rozpoczęcie przez dyr. B. Dąbrowskiego akcji objazren i przystąpiono z wielkim zapałem do pracy. Wyniki ich zasługują na pełne uznanie. I tak w sezonie 1947/48 wystawiono 15 premier, dając 560 przedstawień w Katowicach, na prowincji 146, w 26 miejdowej przyniosło pierwsze pozytywne osiągnięcia. W myśl zarządzenia Ministerstwa Kultury i Sztuki z dnia 7. XII. 1946 r. (Dz. Urz. Min. Kult. i Sztuki Nr 5/46 poz. 6) Teatr Śląski jako Państwowe Przedsiębiorstwo Teatralne został objęty ramami budżetu państwowego. W nowym sezonie teatralnym 1946/47 będącym w dalszym ciągu pod tą samą dyrekcją — wystawiono 19 premier, które widziało na dwóch katowickich scenach 159.079 osób, na 609 przedstawieniach. Akcja objazdowa w terenie objęła 23 miejscowości w których dano 111 przedstawień z widownią 55.381 osób. Sumując, w sezonie tym Teatr Śląski dał 720 przedstawień, które oglądało 204.460 ludzi. Największym powodzeniem cieszyła się komedia Al. Fredry „Mąż i żona", która święciła tryumfy w 83 przedstawieniach. Odejście z końcem tegoż sezonu dyr. B. Dąbrowskiego do Krakowa i powołanie na stanowisko dyrektora Państwowego Teatru Śląskiego Władysława Krasnowieckiego zamyka okres poprzedni i otwiera trzeci okres działalności tej placówki. Wraz z dyrektorem B. Dąbrowskim wywędrowało do Krakowa wielu dobrych artystów. Niepomyślną tę sytuację dla dalszego rozwoju katowickiej placówki uratowała jednak dyrekcja w ciągu kilku tygodni. Odmłodzono zespół, wciągnięto do niego ludzi, którzy z ochotą oświadczyli się za programem pomnożenia wyjazdów w te-scowościach. Ogólna ilość widzów wyniosła 283.626 osób, z czego na prowincję przypadło 76.690 osób. Frekwencja: Duża Scena 75 proc., Mała Scena 59 proc., prowincja 69,2 proc. Z początkiem września 1948 r. zarządzeniem Ministerstwa Kultury i Sztuki włączono do Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach dwa stałe teatry a mianowicie: Teatr Ziemi Opolskiej i Teatr Miejski w Sosnowcu, zmieniając dawną nazwę tego teatru, na: Państwowe Teatry Śląsko-Dąbrowskie.

Integralnym częściom tych czterech jednostek teatralnych, o których wspominaliśmy we wstępie niniejszego artykułu, przydzielono tereny objazdowe, przy czym katowickie sceny obsługiwać mają teren Górnego Śląska, Opole — Nadodrze, Sosnowiec — Zagłębie Dąbrowskie. Następstwem zjednoczenia tych scen pod naczelną dyrekcją Władysława Krasnowieckiego (w Opolu pod kierownictwem artystycznym Tadeusza Byrskiego) jest gruntowna zmiana linii repertuaru sceny sosnowieckiej i opolskiej, zdobywanie nowego odbiorcy teatralnego w społeczeństwie robotniczego Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego, oraz sprawa umasowienia teatru, którego właściwym przejawem byłoby wciągnięcie widza w obręb widowiska teatralnego. Realizowanie tego planu dokonuje dyrekcja codziennie, przystępując do wielkiej o f e n s y w y kulturalnej w największym skupisku robotniczym Polski. Z początkiem sezonu 1948/49 naczelna dyrekcja przeszła do organizowania przedstawień zamkniętych dla świata pracy. We wszystkie dni tygodnia z wyjątkiem sobót i niedziel daje się przedstawienia w Katowicach dla członków Związków Zawodowych, organizacyj społecznych i szkół. Podobnie organizuje się przedstawienia w Sosnowcu, Opolu i w całym terenie objazdowym. W dniach przedstawień otwartych, członkowie Związków Zawodowych korzystają na wszystkie miejsca w Teatrze z 65-procentowej zniżki biletów wstępu. Akcję tę organizuje Teatr przy wybitnej pomocy Wojewódzkiego Komitetu PZPR, Okręgowej Komisji Związków Zawodowych i współdziałaniu Centralnych Zarządów Przemysłu Węglowego, Chemicznego i Budowlanego. W związku z nowymi organizowanymi kompletami widowni, zmienił się też odbiorca teatralny.

Państwowe Teatry Śląsko-Dąbrowskie na wszystkich swych scenach stałych i objazdowych mają teraz świeżą, wielce wrażliwą publiczność, reagującą bezpośrednio na każde słowo, ruch, śpiew i muzykę. Zespół tych teatrów, liczący w obecnym sezonie 77 aktorów (Katowice 37, Opole 20, Sosnowiec 20), daje codziennie trzy przedstawienia. 187 pracowników tych teatrów, łącznie z aktorami, 21 członkami orkiestry i 4 reżyserami pracuje sumiennie i z pełnym poświęceniem. W gmachu „Dużej Sceny" wre praca jak w fabryce. Wielki kombinat artystyczny pod kierownictwem dyr. Władysława Krasnowieckiego, wicedyrektorów M. Sobańskiego i T. Jodłowskiego pulsuje życiem twórczym. Wzrastają wyniki osiągnięć. W nowym sezonie teatralnym t. j. od września do 31 grudnia 1948 r. wystawiono 6 premier i 2 wznowienia (trzy sztuki są w próbach). Na Dużej i Małej Scenie dano 104 przedstawienia, które widziało 52.629 osób. W terenie zorganizowano 50 przedstawień, z widownią 35.788 ludzi. Objazdy sceny katowickiej dotarły do 34 miejscowości. Scena sosnowiecka dała 41 przedstawień w Sosnowcu (13.138 widzów), na prowincji 21 przedstawień (16.313 widzów), objeżdżając 10 miejscowości. Scena opolska, która z powodu odbudowy gmachu teatralnego nie może jeszcze rozwinąć swego pełnego działania, zorganizowała 36 przedstawień w Opolu i 8 wyjazdów w terenie. Z otwarciem przebudowanego gmachu teatralnego (co nastąpi dnia 23 stycznia 1949 r.), zespół ten zamierza obsługiwać wszystkie powiaty Opolszczyzny.

Podając te dane, miałem na uwadze podkreślenie wielkiego wysiłku pracy Państwowych Teatrów Śląskich dla odbudowy i przebudowy życia kulturalnego w województwie śląsko-dąbrowskim. Mówiąc o osiągniętych rezultatach należy również zaznaczyć, iż teatr posiada szereg braków i potrzeb. Niektóre z nich pokonywane obecnie z wielkim wysiłkiem mogą zaciążyć na dalszych osiągnięciach. Do tych należy: brak magazynu na dekoracje, sprzęty i rekwizyty, brak pomieszczeń i urządzeń warsztatowych, garaży i środków lokomocji, które koniecznie są potrzebne dla kontynuowania obecnej pracy. Wszystkie te braki winny być uzupełnione dla życia i dalszego rozwoju Państw. Teatrów Śląsko-Dąbrowskich.

Eugeniusz Poniatowski.

Scenografia Zenobiusza Strzeleckiego - Wystawa w Katowicach

Mistrz Ratkelin

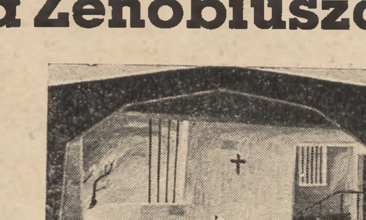

Garcia di Lorca: Krwawe gody

Garcia di Lorca: Krwawe gody

Szekspir: Hamlet

Moliera: Grzegorz Dyndała

Kalendarium stuletnie

DZIENNIK
Górno-Szlązki.
№ 71. Dnia 10. Lutego. 1849

Pismo to wychodzi we Środę i w Sobotę, kosztuje 15 czeskich na kwartał, porto frei. Dostawać go można na każdej stacyj [illegible] należy złożyć sumę na kwartał wyraźnie oznaczoną

O WOLNOŚCIACH

W marcu polynęła krew — sfarbiła świętą ziemię padło wiele trupa za to, żeby nam wolność pozyskać i dano nam 3 wolności. Wolności te są: posyłanie wybrańców z ludu do Berlina — wolność podawania próśb — wolność druku i wolność towarzystw. Pierwszej z tych wolności użyliśmy, bośmy obrali deputowanych — ta pierwszą wolność znaczy, że lud ma prawo urządzenia kraju, bo posyła swoich wysłańców co tego w Berlinie dokazać mają. Te zaś inne wolności zmierzają do tego, aby się lud oświecił, bo dopóki ludzie nie zapragną czytać drukowanych rzeczy, sądzić co tam dobrego, a co złego mędrsi napisali, dopóki nie będą łączyć się w kluby, towarzystwa, aby się wzajem poradzić, czegoś dowiedzieć, nauczyć — dotąd ludzie nie nabiorą oświaty, ani też nie będą wiedzieć jak sobie w złem poradzić. Boć jeden człowiek niewiele przewidzi, ale jak się ludzie złączą toć i poradzą jak złemu zaradzić i jak napisać co do swoich deputowanych. A trzeba też wiedzieć co się dzieje w świecie, toć jak się kilku zjdzie na radę, to każdy powie co się dowiedział, co w cajtungach stoi, a przez to i drudzy nieświadomi o wszystkim się dowiedzą. A czasem też zły człowiek ludzi mową tumani, lub pismem do złych rzeczy namawia i źle ludzi poważa, toć jednego łatwo oszydzi ale jak się więcej ludzi nad jego pismem, albo gadką obradzi, to poznają farbowanych lisów. Otóż gromady powinny trzymać cajtungi, zbierać się na poradę a rozważać co tam w nich stoi, co komu leży na sercu to drugim otworzyć. Gromadzić się na kluby a o dobrem obradzać. Będzie wzrastać miłość między ludźmi, rozumu przybędzie i złe precz odbieży jak ujrzy, że ludzie kochają się i jak bracia jednoczą. Zresztą wolności te co je mamy krwią braci są okupione a więc by grzechem było, żebyśmy je w kącie zostawiali, a nie używali dla dobra a pomyślności naszej. Wy Bracia Wieśniacy, Górnicy i Rzemieślnicy! nie dufajcie, że już dużo rozumu macie od przybytku głowa nie boli, uczcie się z ksiąg, których z czytelni dostać możecie, uczcie się z cajtungów — uczcie się w zebraniach, gromadach i klubach pomagajcie jeden drugiemu radą a sercem, a wtedy rozum zawita miedzy nas: to i złe przed darem Ducha Św., przed światłością Bożą do lasa uciecze, za morza popłynie!

DEPUTOWANI WYBRANI DO BERLINA Z ŚLĄSKA SĄ NASTĘPNI DO 2. IZBY

KLUCZBOREK Chłop Gorczałka, landrat Sak
NISSA Chłop Świder, Regens Szneeweis, Piekarz Ludwik
OPOLE Radca Szkół Bogeden i Młynarz Rydel
ŻORY Dr Haber, Chłop Chwalicki, Faraż Szafranek
WALDENBURG Chłop Langer, Dr Bensz, Kupiec Andrecki

X. Szafranek przyjął wybór od swoich parafianów i Gliwiczanów — Mysłowianie więc i Pszczyniacy będą drugi raz wybierać. Wybrali X. Szafranka — wybrali dobrze, niech więc teraz dobrze też obiorą. — Jest jeszcze dość ludzi co do Berlina wybierać ich można: Lompa nauczyciel z Lubszy — Kosicki z Wielkich Wilkowic — Keiser z Gliwic — Dr Schiring z Bytomia — Pastor Lippet z Bytomia a i innych poczciwych nie braknie. W Berlinie obrano za deputowanych tych, co się to na przeszłym zgromadzeniu najwięcej poznać dali, to jest: Jakobi Rodbertus, Waldek, Berends i Tame, tego ostatniego lud z pochodniami do domu odprowadził i wieńcami z kwiatów ustroił.

KOMENTARZ

I samo wydanie „Dziennika Górnośląskiego" i jego charakter, wartość artykułów — mają zupełnie wyjątkową cenę i warte są osobnego opisu. Nie jest ważne to, że wychodził on zaledwie rok że liczy tylko 100 numerów, nie narzekajmy razem z administracją pisma na małą liczbę prenumeratorów — mieści się on na zaszczytnej liście przedsięwzieć rewolucyjnych roku 1848, zajmuje poczesne miejsce w walce Śląska o narodowość i wolność. Sto lat temu po paręset egzemplarzy dwukartkowego pisma, dwa razy na tydzień czy raz w tygodniu roznosiło po Śląsku myśli, które nam wydają się cenne, a które wtedy były objawieniami, hasłami rewolucyjnymi, sztandarami.

Czytamy oto redakcyjny artykuł o wolności. Jest niezwykle symptomatyczny, znaczący dla Ślązaków i Śląska. Wspomina więc że w marcu 1848 roku popłynęła krew ulicami miast. Zapewne nie chodzi tu tylko o znane powszechnie daty: 18 marca rozruchy w Berlinie, 20 marca w Monachium — prawdopodobnie mową tu o Bytomiu w którym 10 i 11 marca robotnicy walczyli krwawo o prawo do życia. Krwawiej niż to w niektórych książkach czytamy. To nie była rewolucja w rękawiczkach i cylindrach — jak ironicznie wytykał operetkowym rewolucjonistom w Europie Mickiewicz. Rozruchy bytomskie były prawdziwym ruchem robotniczym, nie deklamowano tam o ideach ale zagrożono wyzyskiwaczom pięścią.

Cenić więc powinniśmy czyn rewolucyjny — prowadzi dalej rzecz autor artykułu — ofiara krwi jest zawsze wielka ale nie unośmy się nad nią uczuciowo, przetłumaczyć trzeba ofiarę braci na działanie praktyczne. Nie czas na romantyzm: ofiary i wielkości mamy natychmiast realizować zbierając się na gospodarskie narady, czytając książki i gazety.

Oto w pierwszym rzędzie zachęca się czytelników do zbiorowego prenumerowania „cajtungów". Kilkakrotnie „Dziennik" podawał listę gazet pożytecznych, reklamował galicyjskie i wielkopolskie dzienniki ludowe. Narzędzie nowoczesnej akcji politycznej takim jest gazeta, było więc na Śląsku dobrze oceniane. Stał się też nasz dziennik propagatorem klubów. Dwa znamy nieco bliżej to „Klub Demokratyczny" i „Klub Narodowy". Spośród stowarzyszeń przypomnieć warto „Towarzystwo Nauczycieli Polaków" oraz „Towarzystwo Oświaty Ludu Górnośląskiego", zasłużone zbieraniem książek z całego kraju i zorganizowaniem sieci bibliotek na Górnym Śląsku.

Przez rzeczową praktyczność artykułu przebijają jednak siły bardzo poważne. Odczytujemy między wierszami przede wszystkim poczucie odrębności, odległości od Niemców od ich państwowości, języka, kultury. Rok 1848 zabezpieczył dobrze Śląsk przed urokiem „narodu myślicieli i muzyków" przed urokiem dobrze zorganizowanej władzy. Władza pruska okazała się uciskiem odczuwana była jako wroga i krzywdząca, a nadto tak łatwo się zachwiała! Dlatego właśnie w tych namowach do niewinnych zebrań i narad, do bardzo skromnych środków działania, działania na długą metę — mieści się jednak poczucie siły. Mieści się wiara w dalekie zwycięstwo. Jest to wykład spokojnego optymizmu, który zaleca zasadę ogromnie ważną w każdej polityce: zasadę bezpośredniego działania.

Czy te rachunki „Dziennika", zalecające drogę bardzo daleką, bo podnoszenie wartości jednostek przez wykształcenie ogólne, uświadomienie polityczne — były fałszywe i czy szkodziły dniom bieżącym? — Oto czytamy niektóre pozycje ze spisu deputowanych wybranych do II izby „Zgromadzenia Narodowego" — pierwszą pierwszą izbę rewolucyjną rozwiązał król wśród dramatycznych okoliczności w grudniu 1848, bo ulica berlińska nie umiała dłużej grozić, rewolucjonistą trzeba być do końca, albo się ginie. Z długiej listy wybranych wskazujemy na nabwiska ciekawsze. Trzy odległe od siebie punkty na mapie Śląska: Wałbrzych (Yaldenburg), Nysa i Kluczborek podają nam nazwiska polskie. Opole przypomni charakterystyczny wypadek: Bogedain spolonizowany duchowny, potem autor i wydawca polskich gazet, szermierz praw Ślązaków do polskiego języka. Podobnie i wspomniany w agitacyjnej nocie Kosicki, walczący o polskość Śląska a nie znający polskiego języka — poświadczy raz jeszcze jak wielką siłę przyciągającą miała sprawa odrodzenia narodowego, jeśli zwabiła ludzi bezpośrednio niezainteresowanych. Czytamy jeszcze nazwiska upartego nauczyciela, autora dziennikarza i organizatora Józefa Lompy, a wreszcie Faraża Szafranka, znanego trybuna Górnego Śląska. Tak obok szpalt poświęconych przyszłości dzień bieżący zajmował uwagę „Dziennika Górnośląskiego" również w sposób bardzo praktyczny.

Wybrała i skomentowała
AGATA KAJZEREK

Krótkie spięcia

Coś dla plastyków

Ponieważ dyskusja na tematy malarskie ciągle trwa i żywo się rozwija, a zwolennicy i przeciwnicy uznawania formy za naj wyższą wartość, skaczą sobie ustawicznie do oczu, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że w tych dniach mija 40 rocznica wiekopomnego paryskiego wydarzenia, a mianowicie przyjęcie do Salonu Niezależnych (Salon des Indépendants) obrazu, namalowanego przez . . . osła.

A stało się to w r. 1909, w miesiącu lutym, dlatego, ponieważ redakcja tygodnika „Fantasio" niezadowolona z tzw. „osiągnięć formalnych" ówczesnych modernistycznych malarzy i uważająca krańcowe kierunki owego malarstwa za skończone bzdury (które to zdanie zresztą i dziś mnóstwo ludzi podziela) postanowiła zrobić kawał słynnemu Salonowi Niezależnych. Kawał ten według protokółu, spisanego przez niejakiego p. Brionne, komisarza przy sądzie dla spraw cywilnych departamentu Sekwany, przedstawiał się następująco:

„W celu wykazania, do jakiego stopnia każde dzieło może być przyjęte na wystawę Niezależnych, przyczyniając krzywdy dziełom sąsiednim, „Fantasio" postanowiło wysłać do tego salonu obraz, którego autorem będzie osioł i że obraz ten będzie zapisany w katalogu: „Et le soleil s'endormit sur l'Adriatique . . ." („A słońce zasypiało nad Adriatykiem"), a nosić będzie podpis I. R. Boronali, jako anagram z „Aliboron" (synonim osła).

W tym celu udaliśmy się do kabaretu pod „Zwinnym Królikiem" (słynny „Lapin Agile" na Montmartrze), mieszczącego się w Paryżu przy ulicy des Saules, gdzie zastaliśmy pp. M . . . i X . . . Panowie ci ustawili na krześle spełniającym funkcję sztalug, płótno malarskie w stanie nowym. W mojej obecności farby niebieska, zielona i czerwona zostały rozrobione, a pędzel przywiązany do końca ogona osła, który należy do właściciela lokalu „Lapin Agile", a stosownie do okoliczności był wypożyczony.

Następnie osła podprowadzono i odpowiednio wykręcono do płótna, a p. X . . . pilnował tylko tego, by co jakiś czas zmieniać farby na pędzlu i żeby ten pędzel nie odpadał od ogona.

Stwierdziłem potem, że płótno to przedstawiało różne kolory, począwszy od niebieskiego do zielonego i od żółtego do czerwonego, nie mające żadnej całości i niepodobne do niczego".

Obraz ten został następnie zawieszony w Salonie przy Cours la Reine i stał się przedmiotem wielkiego zainteresowania. Figlarze bowiem wydali równocześnie manifest, podpisany przez „malarza" I. R. Boronali'ego, w którym to manifeście tajemniczy plastyk wzywał wszystkich do ostatecznego zerwania z wszelkimi dotychczasowymi pojęciami o malarstwie i głosił kult „czystego" koloru.

Sądy o obrazie były dosyć sprzeczne. Jedni uważali to zupełnie słusznie za packaninę, drudzy jednak chwalili jego „czysty" kolor i doszukiwali się w nim nawet genialności.

Bomba dopiero pękła, gdy w tydzień później „Fantasio" ogłosił całą prawdę oraz opublikował zdjęcia i dokumenty. Zdjęcia z „pracy" osła oraz fotografię samego obrazu podała również „Illustration" (stary rocznik owego pisma posłużył właśnie jako źródło do tych „Krótkich Spięć") — no i cały Paryż aż huczał z uciechy.

Możeby więc tak dla upamiętnienia tego czynu zrobić dzisiaj podobny kawał jakimś naszym zbyt krańcowym modernistom...? Co o tym sądzą Panowie Plastycy . . .? NIEJAKI X

Podstarzały Don Kichot w Opolu

Ambicją każdego większego miasta jest posiadanie teatru. Własnego, zawodowego teatru, który ma legitymować życie kulturalne danego środowiska. Posiadać teatr! Może to potrochu snobizm, może istotna potrzeba. W każdym razie te ambicje jeśli istnieją są dobre; pochwały godne byłoby ich pełne realizowanie. Niestety nie doszliśmy jeszcze w Polsce do takiego stopnia upowszechnienia kultury, aby tak jak w innych państwach, sieć dobrych, zawodowych ośrodków teatralnych pokrywała się z rozmieszczeniem ośrodków większych instytucji i władz. Słusznie więc musi u nas istnieć pewna planowość w dziedzinie tworzenia nowych teatrów. Muszą teatr posiadać, poza oczywiście centrami wojewódzkimi, te z miast prowincjonalnych, ku którym ciąży z przyczyn specjalnego położenia, czy ze względu na działanie tradycji, czy innych ważnych przyczyn, większa masa społeczna. Jeśli zaś tą masą społeczną są mieszkańcy miast i wsi Opolszczyzny, to trudno się dziwić, że właśnie *Opole*, ów ośrodek od wieków dla ziemi tej i dla ludności szczególnie ważny i reprezentatywny, że właśnie Opole już od samego początku wyzwolenia posiada stały, zawodowy teatr. Tylko że z tym teatrem w Opolu było w ciągu tych kilku lat wiele już kłopotu. Przede wszystkim miasto nie posiadało odpowiedniej do swych potrzeb godnej sali i sceny. Grywano wszakże w dawnej, niemieckiej prowizorycznej salce i uzyskiwano lepsze lub gorsze rezultaty, powiedzmy techniczno-sceniczne.

Osiągnięć artystycznych tego teatru opolskiego nie spodziewaliśmy się w tym pierwszym, najtrudniejszym okresie. Nie spodziewaliśmy się, ponieważ nie było nie tylko warunków pomieszczeniowych dla artystów i publiczności — ale głównie dlatego, że nie było *pieniędzy*, nie było koncepcji, nie było reżysera, nie było niczego. Ale teatr był, istniał, żył, jeździł po opolskiej prowincji, i, mój Boże, do pewnego stopnia konkurował z ochotniczymi zespołami aktorskimi. Ten stan rzeczy był nie do utrzymania w normalizujących się warunkach życia kulturalnego. Nie pragnie się tu winić nikogo i oskarżać. Była to pionierka i tylko w granicach pionierki kulturalnej można ów teatr i jego pracę ocenić.

Zasadniczą zmianę przyniósł rok 1948, kiedy to na początku sezonu dowiedzieliśmy się o upaństwowieniu Teatru Ziemi Opolskiej i o włączeniu go w zespół Państwowych Teatrów Śląsko-Dąbrowskich. Teatr otrzymał nową dyrekcję i nowy zespół aktorski; ba, otrzymał też kosztem iluś tam milionów złotych nową, wspaniale wyposażoną scenę, nową widownię w przerobionym na nowoczesną modłę dawniejszym gmachu. Przebudowa trwająca kilka miesięcy zmusiła nową dyrekcję teatru do pewnego prowizorium: dawano małe przedstawienia w sali gimnastycznej jakiejś szkoły. Tu ujrzeliśmy „Dropsa i jego trupę" Brzechwy, oraz przeróbkę sceniczną z Prusa „Nawrócony".

Aż wreszcie 23 stycznia 1949 roku otwarto nowy przebudowany gmach teatralny z rzeczywiście ładną, jednopiętrową, estetyczną widownią, z dużą i głęboką sceną, z sympatycznymi t. zw. kuluarami. Uroczystość wielka. Duża liczba gości. Władze z Warszawy i Katowic. Goście sowieccy w osobach przedstawicieli Armii Czerwonej. Reprezentanci różnych „sfer artystycznych". Nawet b. recenzent warszawskich „Nowin Literackich". Skąd się wziął w Opolu? Ależ tak właśnie być powinno; niechże by redakcje ogólno-krajowych czasopism literacko-społecznych nareszcie zwiększyły czujność na sprawy prowincji.

No i uroczystość tylko w części oficjalnej (przemówienia) wypadła jak należy, w części zaś spektaklowej?

Zagrano, a raczej zaśpiewano komedio-operę pt. „Nowy don Kichot" Fredry z muzyką Moniuszki. Przedstawienie wypada ocenić jako swego rodzaju nieporozumienie. Elementów tego nieporozumienia jest kilka, z nich najważniejsze polegają na pomyłce w wyborze sztuki, w wyborze reżysera, polegają wreszcie na tym, że z artystów dramatycznych chciano zrobić artystów operowych (!!).

Z tego wszystkiego można jedynie omówić sprawę wyboru sztuki; w stosunku do innych pomyłek pragnę uczynić gest mający znaczyć „a ja o tym milczeć wolę".

„Nowy don Kichot" należy do najsłabszych utworów Fredry i nie zawiera poza nielicznymi scenami tzw. komizmu sytuacyjnego niczego aż tak dalece ważnego i wartościowego, co by tę sztukę kwalifikowało na współczesną scenę dla współczesnego widza, w dodatku dla tak specjalnego widza z jakim mamy do czynienia na Opolszczyźnie. Toć na honor niechby ktoś, może jakaś instytucja, jakiś departament, może te dyskusje, które się w tej chwili toczą na łamach czasopism teatralnych i literackich (por. wypowiedź Juliusza Żuławskiego w „Kuźnicy" i Leona Schillera w „Teatrze") — niech by się nareszcie ktoś serio i w sposób konkretny zajął ustaleniem, przynajmniej z grubsza repertuaru naszych teatrów w szczególności mniejszych, prowincjonalnych. Co dawać w Opolu, Olsztynie, Gorzowie? Pisze o tym „Odra" (nr 3, r. 1949 rubr. „Wśród czasopism"): „Rzecz oczywista, że rozwój wzrastającej w Polsce liczby scen pomniejszych idzie przede wszystkim w kierunku realizmu i tej drogi powinien się trzymać" —ale co to znaczy przełożone na język praktyczny? A mnie się wydaje, że takie sceny jak w Opolu nie powinny zapominać także o tym, żeby po prostu u c z y ć k u l t u r y p o l s k i e j. Ale nie przez wystawianie najgorszych sztuk Fredry lecz najlepszych. „Damy i Huzary" wcale nie są trudniejsze do zrozumienia, gdy idzie o język niż „Nowy don Kichot". *Zbyszko Bednorz.*

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 1950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.

R 019525